

# LUTY



## Związek

P...

NOWELA.

(Dokończenie).

Nareszcie po godzinie całej takiej męki powrócił pan Rafałowicz; ale zamiast wrócić groźny, zły, jak się spodziewałem, był nadzwyczaj wesół i ucieszony.

— Czy wiecie? — spytał zaraz, ledwie że wszedł — czy wiecie, kto jest autorem tego listu?

— No? no? — zawołała rozciekawiona żona.

— Autorem tego listu jest nikt inny, tylko rodzony syn Probsta, Karol. Sam ojciec mi powiedział, że to on własną ręką pisał wszystkie zaproszenia na zaręczyny siostry, a że pismo w liście jest to samo, więc nikt inny go nie pisał, tylko on sam.

— Ależ on nie zna prawie naszej Zosi. Widział ją zaledwie parę razy.

— Cóż to znaczy? My się także mało co znali przed ślubem, a jednak to nam nie przeszkodziło, żeśmy się pobrali.

— To prawda. Więc powiedziałeś staremu Probstowi o tym liście?

— A to po co? Stary palnąłby pewnie synowi porządną reprimendę za takie nietaktowne postępowanie, chłopaka by to zraziło, zawstydziło i odstręczyło, a byłaby szkoda, bo młody Probst to wcale nie zła partya dla naszej Zosi, lepszej by pewnie nie znalazła. Starego Probsta rachują na jakie dwakroć pięćdziesiąt tysięcy, syn obejmie niezawodnie po nim wkrótce cały interes, córka wychodzi za barona, a taka koligacya, to także coś znaczy. Taki interes nie jest do odrzucenia.

— Zosia jednak zna go bardzo mało.

— To go pozna na zaręczynach jego siostry.

— Zosia miała nie być.

— To prawda, bo chciałem wprowadzić ją w świat dopiero po skończeniu ośmnastu lat; ale skoro trafia jej się taka dobra partya, to nie ma co czekać. Trzeba kuć żelazo, póki gorące.

— Nie ma odpowiedniej toalety.

— To się jej sprawi. A nie zapomnij o gwoździkach, bo mnie się zdaje, że tam w tym głupim, roman-sowym liście jest coś o gwoździkach. Panie Przepiórkowski, przeczytaj-no pan ten ustęp, jak to tam stoi.

Zrobił to zdaje się umyślnie, aby mnie zatrzymać, bo chciałem właśnie wyjść, nie mogąc już dłużej słuchać rozmowy małżonków, której każde słowo raniło mi serce i szarpało nerwy. Na dobitek musiałem jeszcze

w obec tych zimnych ludzi odczytywać własne wyrazy; ale wymówić się od tego nie było sposobu. Siadłem więc zgnębiony i czytałem.

»Jeżeli słowa moje znajdą bratni oddźwięk w twej anielskiej duszy, jeżeli przebaczysz mi tę śmiałość, że odważyłem się podnieść ziemski wzrok na ciebie, na dowód, że mi przebaczasz, wetknij gwoździak w jasne sploty twej Rafaelowskiej główki. Gwoździak ten będzie gwiazdą mojego szczęścia, gwiazdą nadziei, która mnie zaprowadzi do nieba«.

— A co? Widzisz matka, ja wiedziałem, że tam coś stoi o gwoździaku. Więc skoro mu tak na tym gwoździaku zależy, niechże go sobie Zosia wetknie we włosy. Co za romantyczny koncept, doprawdy nie na bankiera. No, ale skoro jemu się to tak podoba, niech mu Zosia zrobi tę grzeczność i powiedz jej, żeby była dla niego uważająca, niech go wybiera do kotyliona, do mazura, to go więcej jeszcze ucieszy, jak ten głupi gwoździak.

Nie mogłem już dłużej znosić tych tortur. Wstałem nagle i pod pozorem bólu głowy oddaliłem się co prędzej do mego pokoju. Przez kilka dni nie pokazałem się przy stole; udałem chorego, żeby nie widzieć Zosi, którą teraz uważałem już jako ofiarę prowadzoną na zgubę przez rodziców zimnych i wyrachowanych. Od Adasia tylko dowadywałem się o niej, o przygotowaniach do balu. Malec mówił mi wszystko, co podpatrzył, podsłuchał, nie domyślając się nawet, jak temi doniesieniami jątrzył ranę mojego serca.

— Żeby pan wiedział, jaką suknię będzie miała Zosia — powiedział mi jednego dnia, wpadłszy do mego pokoju — cała jakby z płatków śniegu, posypanych dyamencikami. Coś cudownego; nie ma pan pojęcia, jak jej w tem ładnie. Pan ją musi koniecznie zobaczyć. Ona nawet pytała się, kiedy pan będzie zdrow, bo chciałaby się sprezentować panu w tej sukni.

Właśnie dla tego, żeby jej nie widzieć idącą na ten bal, postanowiłem dzień cały przeleżeć w łóżku; ale Adaś nie dał mi spokoju. Co chwila przylatywał donosząc mi: — to, że zaczęła się już ubierać, to, że się myje, że teraz do niej przyszedł fryzyer i będzie ją czesać, a w końcu, że go wypędzili z pokoju, bo Zosia będzie teraz wdziawać suknię.

— Mój złociutki panie — prosił malec — niech pan wstanie choćby na minutkę, żeby ją zobaczyć, nie pożałujesz pan tego, bo powiadam panu, coś cudownego.

A gdy mu oświadczyłem z całą stanowczością, żeby mi dał pokój, bo nie wstanę, bo wstać nie mogę, nachmurzył się i rzekł:

— Tak! To pan taki? To pan tak kocha Zosię, że nawet nie ciekawy ją zobaczyć, jak wygląda? Poczekaj pan, powiem ja to Zosi.

I zapewne musiał jej powiedzieć, bo w jaki kwadrans potem zapukał ktoś lekko do moich drzwi, które zamknąłem na klucz, aby uwolnić się od natręctwa chłopca. Udałem, że śpię i nic się nie odzywałem, choć pukanie powtórzyło się parę razy.

— Niechże pan otworzy, bo to nie ja pukam, tylko Zosia — odezwał się Adaś za drzwiami.

— Cicho Adasiu, może śpi — powiedziała szeptem.

— Ale gdzie tam śpi; widziałem przecież przez dziurkę od klucza, że czyta. No, odezwijże się pan.

— Panie Pawle, bo już niedługo pojedziemy; mama i tata kończą się ubierać, przyjdź pan do salonu zobaczyć moją suknię.

Nie mogłem się dłużej opierać, to było nad moje siły. Głos jej był tak słodki, serdeczny, że z grobu by mnie ruszył, nie dopiero z łóżka. Odpowiedziałem jej więc, że za chwilę przyjdę i na gwałt zacząłem się ubierać.

W niespełna dziesięć minut byłem już w salonie, rześcicie oświetlonym dla lepszego obejrzenia toalety. Zosia stała przed lustrem ogromnym, wdziawając rękawiczki, a panna służąca poprawiała jej fałdy i upięcie sukni. Wyglądała w istocie tak cudownie, tak eterycznie, że wszedłszy oniemiałem na ten widok.

— A co? prawda? — zawołał Adaś tryumfująco, przyskakując do mnie.

Ona obejrzała się w stronę, gdzie stałem i wlepiając we mnie swoje fiołkowe oczy spytała zarumieniona, wstydliwie zasłaniając wachlarzem dziewczycy biuścik:

— No, cóż, jakże się panu podoba moja toaleta?

Byłem tak zachwycony i oczarowany jej widokiem, że miałem ochotę klęknąć, jak przed świętą, złożyć ręce i zawołać:

— Nie jedź, bo to nie on cię kocha, dla mnie te gwoździki twoje miały być gwiazdami szczęścia! — I kto wie, czybym nie był odważył się na ten krok szalony, gdyby nie byli w tej chwili wesli rodzice, matka ubrana w aksamity i brylanty, ojciec w nowym fraku i niepokalanej czystości gorsie i mankietach... i zabrali ją do powozu.

Wróciłem do mego pokoju złamany, zrozpaczony, przygnębiony. Szalona zazdrość dręczyła mnie, że taki Karol będzie pieścił oczy widokiem jej wdzięków, trzymał ją w tańcu w swoich objęciach, rozmawiał z nią, a rodzice narzucać mu ją będą, ułatwiać poznanie się, zbliżenie, podczas gdy ja, który właściwie miałem prawo do jej serca, który ją kocham, siedzę tu zapoznany, osamotniony, nieszczęśliwy.

Jedno mnie tylko pocieszało, że Zosia, o ile ją znałem, nie byłaby nigdy w stanie zakochać się w takim zwykłym kantorowiczku, jakim był Karol, człowiek bez szczypty poezji, płytki, pusty, bez treści, i że wyrachowania kupieckie rodziców rozbiją się o jej upór. Bal ten, perswadowałem sobie, przejdzie bez żadnych następstw i wszystko wróci do dawnego stanu.

I rzeczywiście tak się stało. Przez kilka dni wprawdzie gadano o tym balu, kto tam był, jak się bawiono, jak się Zosia podobała, jak wiele tańczyła; ale o Karolu jakoś nic nie wspomniano, przynajmniej przy stole — i w jakiś czas potem nawet o balu nie wspomniano już wcale.

Nadzieja wstępowała w moje serce i zacząłem już na nowo roić i marzyć rozkosznie, gdy naraz jednego dnia, wracając do domu, spotkałem się w sieni z Karolem, ubranym w strój wizytowy i jasne rękawiczki. Złe przecucie, jak rozpalony drut, kolnęło mnie w serce.

— A ty gdzie tu idziesz? — spytał mnie.

— Ja tu mieszkam.

— Tak?

— Jestem nauczycielem syna Rafałowicza.

— A ja właśnie wracam od nich. Wiesz, ta mała, to wcale niczego dziewczyna. Przypomina mi ogromnie Lili, tancerkę z Orfeum... bardzo do niej podobna. Trochę jeszcze gąska; ale to się wyrobi, jak pójdzie za męża.

— Jakto? Chciałbyś się z nią żenić? — zapytałem groźnie.

— To jeszcze niepewne. Zależy od tego, ile Rafałowicz daje za nią. Mój stary targuje się z nim o posag już drugi dzień; ale Rafałowicz twardy. Jak nie zmięknie, to nie będzie z tej mąki chleba. Czterdzieści tysięcy, to dla mnie żaden interes. Wolę poczekać, aż się coś lepszego trafi, a tymczasem mogę sobie pohulać jeszcze trochę. No, bądź zdrów, muszę się spieszyć, bo za parę godzin jadę do Wiednia. Stary mnie wysłał w swoim interesie. Telegrafowałem już do Lili, że przyjeżdżam. No, do widzenia.

Wybiegł z kamienicy, nucąc jakąś operetkową aryę, a ja stałem jakby piorunem rażony, nie mogąc przyjść jeszcze do siebie po tem, co usłyszałem. Oburzenie, zazdrość, wściekłość pędziły krew do głowy, że — zdawało się — rozsadzą ją, wszystkie pulsa były mi gwałtownie, jak kowalskie młoty.

— I taki człowiek chce się z nią żenić — mówiłem sobie — z tym ideałem wszystkich cnót, wdzięków i przymiotów. Ależ to jest oburzające, to jest nikczemność, podłość, na którą ja pozwolić nie mogę. Pójdę i ostrzeżę ich... powiem, co to za człowiek.

Z tem postanowieniem poszedłem na górę i jakkolwiek Rafałowicz swoją sztywną miną i zimnem obejściem onieśmielał mnie zawsze, tym razem zdobyłem się na odwagę i poprosiłem go na chwilę rozmowy na osobności.

— Cóż, czy może Adas co przeszkrobał? — spytał, gdyśmy znaleźli się sami.

— Nie idzie tu o Adasia, ale o pańską córkę, o jej szczęście.

Spojrzał na mnie zdziwiony takim wzrokiem, że mi się aż zimno zrobiło; ale nie zważałem na to i mówiłem dalej:

— Czy pan wiesz, że Probst młody chce się żenić z nią tylko dla pieniędzy, dla posagu?

— No, to ja wiem dobrze, tylko nie wiem, ile on myśli wytargować. Czy może z panem mówił o tem? Pan się z nim znasz?

— Nie o to tu chodzi, tylko czy pan wiesz, że on córki pańskiej nie kocha, że to jest człowiek bez żadnej wartości moralnej, że...

— A panu co do tego? Co pan się mieszasz w te rzeczy? — rzekł, mierzając mnie z góry surowem spojrzeniem. — Pan lepiej pilnuj Adasia, bo pan tu jesteś od tego.

To powiedziawszy wyszedł do drugiego pokoju, gdzie słyszałem, jak mówił do żony:

— Ten nauczyciel, to straszny konfident, zanadto sobie pozwala.

Widziałem, że z nim wszelka rozmowa w tym względzie będzie daremną, że go nie przekonam. Nie zostawało mi, jak rozmówić się z Zosią, otworzyć jej oczy na niebezpieczeństwo, jakie jej zagrażało i przestrzedz ją. Ale rozmówić się z nią sam na sam nie miałem sposobności. Przy obiedzie, przy rodzicach niepodobna było, a potem nigdzie się z nią spotkać nie mogłem. Do mego pokoju nie przychodziła już jak dawniej, wychodziła i wyjeżdżała zawsze w towarzystwie matki, a w domu, jak się wygadał Adas, była zajęta wyprawą, którą szyto na gwałt.

Raz jednak udało mi się zastać ją samą w jadalnym pokoju, zdawało mi się nawet, że umyślnie czekała tam na mnie, bo gdym wszedł, spojrzała mi w oczy z życzliwym uśmiechem jak dawniej i rzekła podchodząc ku mnie:

— No, panie, powinszuj mi pan. Idę za męża.

— Za Karola Probsta?

— Tak. Pan już wie o tem?

— Wiem.

— Pan go zna?

— Zanadto dobrze. Ale pani, czy go znasz dobrze, czy wiesz, co to za człowiek?

— Bardzo elegancki, ma bardzo ładne ułożenie, dobrze się prezentuje. Mówi kilkoma językami, siostra jego jest za baronem Kurzem i bywa w wielkim świecie.

— Nie o tem tu mówię. Ale co on wart?

— Rachują go na sto tysięcy, a po śmierci ojca będzie miał jeszcze więcej. Patrz pan, jaki dostałam od niego pierścień zaręczynowy. Tatko powiada, że ten brylant wart co najmniej dwa tysiące.

Po takiej odpowiedzi zamilkłem. Mój anioł spadł z obłoków ogromnie nisko w moich oczach.

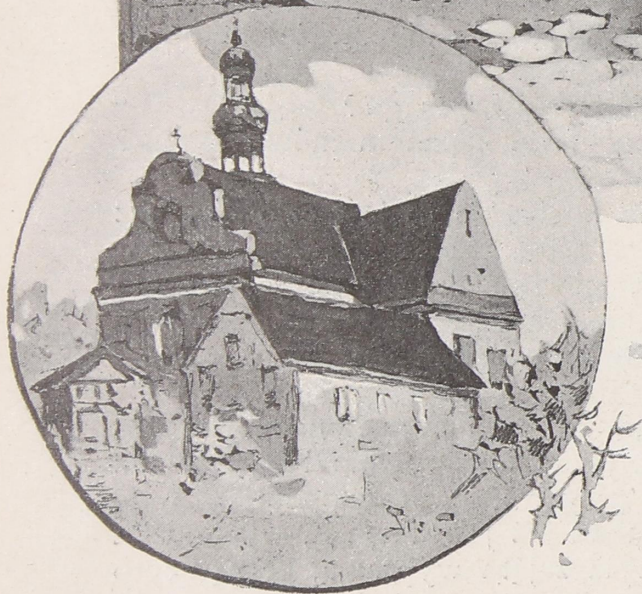
Niedługo potem opuściłem dom Rafałowiczów, a w parę miesięcy potem przechodząc raz ulicą ujrzałem mój ideał w powozie, w towarzystwie jej męża, Karola Probsta. Prawdopodobnie jeździli z poślubnymi wizytami, bo on był ubrany wytwornie, a ona cała w atlasach i koronkach.

Patrząc z nimi, pomyślałem sobie, czy też wiedza, że do skojarzenia ich świetnego małżeństwa przyczyniła się jedna litera: P? Że tej literze zawdzięczają to swoje dzisiejsze szczęście?

MICHAŁ BAŁUCKI.



WIELKOPOLSKA W OBRAZACH  
przez L. STASIAKA.



GNIEZNO.

KOŚCIÓŁ FARNY.  
KOŚCIÓŁ ŚW. MICHAŁA.

UROCZE OCZY.

KOMEDIA W CZTERECH AKTACH.\*)

(Ciąg dalszy).

SCENA 6.

KAROLINA, KSIĄŻĘ.

KAROLINA.

Szukałam cię... Chcę z tobą pomówić.

KSIĄŻĘ (bardzo grzecznie).

Z przyjemnością, z prawdziwą przyjemnością. Wiesz hrabino, że zawsze chętnie spełniam twoje rozkazy... (ciszej) Tylko czy tu kto nie może nas podsłuchać? (Karolina śmieje się gorzko i ironicznie). Karlo, co ci jest?... co ten śmiech oznacza? (Bierze ją za rękę). Ręka twoja drży... dłonie masz gorące... (Z czułością). Wydajesz się wzruszoną...

KAROLINA.

Wzruszoną — o nie; oburzoną — tak.

\*) Autor zastrzega prawa swoje w obec scen polskich. (Przypisek Redakcyi).

KSIĄŻĘ.

Czem-że? czem?

KAROLINA.

Nie udawaj! Udawanie pozostaw nam kobietom, które zawsze mamy coś do ukrycia. Ale prawda, że ty pół-bohater, za jakiego cię tu mają, jesteś przytem mięki jak kobieta — możesz zatem grać komedję bezkarnie.

KSIĄŻĘ.

Na serio nic nie rozumiem.

KAROLINA.

Widzę, że pragniesz abym sama położyła *les points sur les i*. Zgoda! Kiedy tak, to powiem ci, że dowiedziałam się o waszej intrydze, uknutej potajemnie... Książę pan się żeni.

KSIĄŻĘ.

Na miłość Boga, ciszej!

KAROLINA.

Mówię cicho, bardzo cicho... *zitto, zitto, pianissimo* mości książę, jak mnie od dzieciństwa uczono. Oburzenie do podniesienia głosu mnie nie zmusi, a w takich starych i uczciwych — jak te — domach, nikt nie ma zwyczaju podsłuchiwać. Całe towarzystwo w ogrodzie; szambelan tylko co wyszedł. Nie spostrzegł mnie, kiedy tu wchodziłam, ręczę ci za to słowem — opuszczonej kobiety. Nie lękaj się zatem. Opinia twoja dobrze wychowanego i bardzo delikatnego człowieka, którą się cieszysz w naszym świecie, na szwank narażoną nie będzie. Możemy mówić prawie głośno... i otwarcie. (Chodzi wzburzona. — Nagle staje). Więc nie zaprzeczasz? (Chwila milczenia). Żenisz się z moją siostrą? (Wybuca ironicznym śmiechem). Żałuję, że powinszować nie mogę.

KSIĄŻĘ (bierze ją za rękę, po lekkim oporze prowadzi do kanapy, na której sadza, poczem siada obok niej i mówi bardzo czule).

Karlo... czy mi jeszcze ufasz?

KAROLINA.

Słucham.

KSIĄŻĘ.

Chciałbym, żebyś mi ufała...

KAROLINA.

Słodki dźwięk twojego głosu kłamie, oczy urocze kłamią; głosem twym i oczami swymi mnie oczarowałaś... ale już im nie wierzę. Ufałam dotąd, teraz tylko słuchać mogę.

KSIĄŻĘ.

Przedewszystkiem racz mi powiedzieć od kogo dowiedziałas się... o... o... zamiarze, który dotąd jest projektem zaledwie... bez stanowczego zobowiązania z mojej strony.

KAROLINA.

Ależ oni, tam, ile razy Terenia zniknie — a znika co moment — o niczem innem nie mówią, tylko o tem.

KSIĄŻĘ.

Musiałas źle zrozumieć.

KAROLINA (ironicznie).

Ciebie nie rozumiem.

KSIĄŻĘ.

Dla czego?

JULIUSZ KOSSAK.



POSŁANIEC Z MIASTECZKA.

KAROLINA (j. w.).

Ty... ty, i ta wiejska kózka, w parze, połączeni dozgonnym węzłem małżeńskim!.. Nie, to doprawdy przechodzi wyobrażenie, to rozśmieszyć by mogło, gdyby nie... (Urywa). Takie głupie koźlątko, taki Kopuszek...

KSIĄŻĘ (z delikatnym wyrzutem).

Karlo, to twoja siostra!

KAROLINA.

Nie księciu wypada mi to przypominać! Ale kiedy przypominałeś, to powiem, że dla jej szczęścia nie chcę tego związku. Terenia za niewinna, aby miała po mnie dziedziczyć...

KSIĄŻĘ.

Nie pojmuję...

KAROLINA.

Och! oburzasz... wstręt budzisz w moim sercu swoim dzikim, zwierzęcym egoizmem!

KSIĄŻĘ.

Karlo! Karlo! ty zwykle taka dobra...

KAROLINA.

Nie jestem już dobrą. Byłam nią może kiedyś, ale świat, w którym żyjemy zrobił mnie przewrotną i fałszywą. Lecz mam tego dosyć! W murach starego dworu... tu, gdzie upłynęło moje dzieciństwo anielskie, zapragnęłam szczerości... Więc bronić będę mojej siostry, bronić będę honoru rodziny w obec ciebie i przeciw tobie, który mnie pozbawiłeś prawa obrony czci własnej.

KSIĄŻĘ.

Napróżno chciałabyś się oczernić... byłaś i pozostaniesz aniołem.

KAROLINA (mimowolnie z uczuciem).

O! tak... pragnęłam być twoim aniołem opiekuńczym...

KSIĄŻĘ.

Gdyby nie Warszawa...

KAROLINA.

Gdzież kobieta mego urodzenia, nosząca po mężu znane nazwisko, zamieszkać może, jeśli nie w stolicy!

KSIĄŻĘ.

Tak, lecz...

KAROLINA (opiera czoło na rękę i mówi prawie do siebie, jakby marzyła).

Gdyśmy się w niej z Augustem osiedlili po ślubie, byliśmy bogaci, szanowani, uwielbiani. Życie wszystkimi swemi ponętami uśmiechało się do mnie. Pędziliśmy przez nie oboje, nie myśląc o jutrze, jak w wyścigu konnym lub w *par force*... po polach zielonych... naprzód... wciąż naprzód... *ventre à terre!* Dech w piersiach zamierał od wrażeń, jakie czar szalonej pogoni wytwarzał. Dotąd, gdy myślę o tych chwilach, w głowie mi się kręci.

KSIĄŻĘ (ze szczerem współczuciem).

Biedna Karlo!

KAROLINA (j. w.).

Wtem wybuchło powstanie, w którym August,

choć znacznie od ciebie starszy, odegrał także niemal bohaterską rolę.

KSIĄŻĘ.

Mówiono mi: narażał się, poświęcał. On, paniczek, wychowany w puchu, budził podziw, zachwycił.

KAROLINA (j. w.).

Nagle runął gmach nadziei... (z bolesną ironią) istny pałac z kart! — Zwiął go mroźnym podmuchem wiatr północy, rozrzucił po świecie atutowe asy i damy, a króle, z koronami laurowymi na skroniach, przemienił w marne walety. Widmo nędzy groziło całemu krajowi. Interesa mego męża zachwiały się wśród kataklizmu; posag mój, chociaż duży i jeszcze wówczas nietknięty, szczerb w jego fortunie wygładzić nie mógł, pomimo, że w nich cały utonął. Wtedy, nie chcąc unżyć się w obec swoich...

KSIĄŻĘ.

Duma fatalna!

KAROLINA (j. w.).

Po długiej walce z nawyknięciami, z tem co kochaliśmy i w co wierzyliśmy, August zapisał się do biura generał-gubernatora. (Zakrywa dłońmi oczy. — Chwila milczenia. — Karolina powstaje). Ciężkie to urządowanie!.. pełne bolesnych upokorzeń, tak dla niego, jak dla mnie!... Ażeby mu ułatwić przesuwanie się z posad niższych na wyższe, aby wyrobić zwiększenie pensyi, sprzedawałam satrapom zmieniającym się co lat parę w zamku: uśmiechy, piękne słówka, uściśnienia ręki, spojrzenia, które przyrzekały więcej, niż dotrzymać chciałam... niż dotrzymywałam. W życiu podobnem o wszystkim co szlachetne zapomnieć można i nabrać dla siebie takiego wstrętu... o! takiego wstrętu...

KSIĄŻĘ.

August ciężko odpowie przed własnym sumieniem...

KAROLINA.

Nie obwiniaj go. On mnie na tę drogę nie popchnął; wybrałam ją sama. (Zamyślona). Kto wie, czy mnie dotąd nie kocha!

KSIĄŻĘ.

A czy ja cię nie kochałem?

KAROLINA.

Ty mnie zgubiłeś, bo kiedy zmęczona — okropnie zmęczona torturą codzienną — spotkałam cię na mej drodze, z temi oczami nęcącymi swoim demonicznym urokiem, przemawiającego głosem budzącym w rozdartem łonie nadzieję, uwierzyłam szalona, że dawną duszę moją wskrzesisz, że mi niebo otworzysz. Słaby jesteś i chwiejny jak kobieta, ale nie wtedy, gdy pragniesz. O kiedy pożądasz, umiesz narzucić swoją wolę jakimś czarem dziwnym, jakimś przymusem...

KSIĄŻĘ.

Karlo! przysięgam...

KAROLINA.

Znam wartość twoich przysięg!... a jednak nie wiem, co się ze mną dzieje. Chwilami czepiam się uciekającej przedemną miłości, jak gałęzi zbawienia... zazdroszczę... nienawidzę... przeklinam tę, która mi ciebie wydiera... to znowu pogardzam sobą i tobą... a ją od zguby ratować pragnę.

KSIĄŻĘ.

Karlo! Karlo!

KAROLINA.

Oni tam może teraz, już nie półgłosem, jak przed chwilą, ale głośno dobijają targu, którego punktacyę spisaliście listownie: ty, babka, szambelan i mój mąż. Temu ostatniemu się nie dziwię. On siebie za nędzny grosz sprzedał, dlaczegóżby i ciebie nie miał sprzedać za sto tysięcy. Tak, tak... nasze porękawiczne wyniesie aż sto tysięcy! Ja nie będę potrzebowała na salonach zamkowych i w Belwederze roztaczać czaru mojej kokieterii, a on porzuci urządowanie. Marzy o tem oddawna! Pojedziemy do Szwajcaryi... w górach zakopać naszą hańbę.

KSIĄŻĘ (słodko i prawie z radością).

Szczęście powróci... wierzaj mi, powróci!

KAROLINA.

Tak mniemasz?... Otóż mylisz się. To pomyślne rozwiązanie nie przyjdzie do skutku, bo ja na małżeństwo Tereni z tobą nie zezwolę.

KSIĄŻĘ.

Ależ Karlo...

KAROLINA (stanowczo, ale prawie spokojnie).

Nie zezwolę.

KSIĄŻĘ (na str. niemal z dziecinnem rozdrażnieniem).

Ooo!... kiedy tak, to zobaczymy!

KAROLINA (prawie spokojnie, ale ironicznie).

A teraz kiedy wiesz, czego się trzymać... otwórz, proszę, fortepian. (Książę otwiera). Słyszę zbliżających się... (Siada przy fortepianie). Co wolisz, żebym zagrała: marsz tryumfalny, czy preludjum jakie ciche? (Książę nie odpowiada, tylko opiera się o fortepian). Milczysz?... Widzę, kochany książę, że dla ciebie grać muszę *zitto, zitto... pianissimo*. (Gra cichuteńko walca M. Moszkowskiego. Opus 32. — W ciągu poprzedzającej sceny ściemniało się powoli, tak że obecnie jest zupełnie ciemno).

SCENA 7.

CIŻ SAMI, HRABIA i na ramieniu jego oparta KASZTELANOWA. Potem MACIEJ i JÓZEF. Następnie MATYLDA i TERENIA. W końcu SZAMBELAN, REJENT, LUDWIK i PETRONELLA.

HRABIA (prowadząc dalej w ogrodzie rozpoczętą rozmowę).

Starożytne narody miały także swoje *credo*, które z biegiem czasu traciły.

KASZTELANOWA (rozdrażniona i bardzo znużona).

Bo w sercach i umysłach nie było już wiary, bo nie pragnęły odrodzenia.

HRABIA.

I one prawdopodobnie sądziły, że upadku swej wiary nie przeżyją, tymczasem przetrwały ją... i szydziły nawet potem z najwznioślejszych pojęć i najświętszych ołtarzy.

KASZTELANOWA (z oburzeniem).

O!... (Panuje nad sobą). Zmęczona jestem... przepraszam... dyskutować dłużej nie mogę... nie chcę. Siadę tu... w fotelu. (Hrabia doprowadza ją do fotelu. — Kasztelanowa siada). Dziękuję... odpocząć muszę. (Hrabia kłania się, jakby chciał odejść). Jeszcze słówko. Lekkomysłnie traktować rzeczy serio, a poważnie lekkie lub nikcze-

mne; wielkie poniżać, a wywyższać małe, oto czem się odznacza wasza generacya, w popiół zamieniona po słomianym ogniu. I dla tego też ginie, marnieje. (Z silnem przekonaniem). Ale zguba indywidualuów, a choćby i całego pokolenia nie jest jeszcze upadkiem narodu i wiary w jego nieśmiertelność. (Hrabia chce odpowiedzieć, kasztelanowa mu przerywa). Przepraszam... jestem zmęczona... dyskutować nie mogę. Tyle tylko chciałam powiedzieć. (Hrabia znowu porusza się, jakby chciał odejść). Zostań... proszę. Siadź przy mnie. (Hrabia bierze krzesło i siada). Jak tu ciemno. Chciej zadzwonić. (Hrabia powstaje i dzwoni. Maciej ukazuje się w drzwiach lewych).

MACIEJ.

Co jaśnie pani rozkaże?

KASZTELANOWA.

Światła! (Maciej wychodzi). Karolka gra bardzo ładnie. Ciche tony, z pod jej palców płynące, uspokajają, kołyszą jak do snu... myślom inny bieg nadają.

HRABIA (z westchnieniem).

Tak, gra inteligentnie. (Zbliży się do fortepianu, bo spostrzegł księcia. — Wchodzi Maciej, za nim Józef z kandelabrami w ręku. — Kasztelanowa w pierwszej chwili olśniona, zakrywa oczy).

MACIEJ.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

KASZTELANOWA.

Na wieki. (Maciej i Józef stawiają kandelabry). Macieju! (Kamerdyner się zbliża). To twój Józefek?

MACIEJ.

Tak jaśnie pani.

KASZTELANOWA (po cichu).

We fraku... nieboszczyka kasztelana?

MACIEJ.

Tak. (Do Józefa). Chodź-no tu; ucałuj ręce jaśnie pani. (Józef nachyla się, żeby ręce Kasztelanowej ucałować).

KASZTELANOWA (z mimowolnym wstrętem).

Nie trzeba... Odejdźcie. (Maciej i Józef odchodzą). Mój Boże!... mój Boże!... mój Boże! (Mówi te wyrazy coraz cichszym szeptem, poczem jakby ukradkiem robi znak krzyża świętego na piersi. — Hrabia, który wziął księcia pod ramię, zbliża się. — Kasztelanowa spogląda na nich, niby ze snu ockniona). A! i książę?... Bardzo mi przyjemnie. Siadajcie panowie tu... tu... (Wskazuje krzesła) obok mnie. (Hrabia i książę siadają). Karla gra tak pięknie. Można myślać w muzyce utonąć i znaleźć w niej spokój chwilowy.

KSIĄŻĘ.

Hrabina posiada wielki talent.

HRABIA (z goryczą).

Bezużyteczny. (Po chwili smutnie). A kto wie?... może jeszcze kiedyś dawać będzie koncerty lub lekcye.

MATYLDA (wchodzi, wciągając przemocą za sobą Terenię).

Chodź, chodź mała. Nie lękaj się, nikt cię tu zjeść nie myśli.

TERENIA.

Och! jaka pani złośliwa!

MATYLDA.

Pani! znowu pani. Babciu, każ jej mi mówić ty.

KASZTELANOWA.

Kazałam.

MATYLDA.

A ona nie słucha!... Proszę sobie wyobrazić, że ta panna milionowa, bo ją babunia pragnie obsypać złotem i brylantami, miewa sny czarne jak smoła. Przed chwilą opowiadała mi ostatni, najświeższy, dzisiejszy: o trumnach, pogrzebach, przepaściach. Brr!... Nie moja panno, to nie ty mnie, ale ja ciebie lękać się będę, bo się bardzo boję wszelkich widm i strachów, a tu w tym starym dworze pewno straszy. Straszy czy nie?... powiedz.

TERENIA (zmięszana).

Nie.

MATYLDA.

A jednak okropne sny miewasz?

TERENIA (j. w.)

Tak.

MATYLDA.

I widzenia?

TERENIA (j. w.)

Nie.

MATYLDA.

A przeczucia?

TERENIA (j. w.)

Tak.

MATYLDA.

Czy przeczuwałaś, że przyjedziemy?

TERENIA (j. w.)

Nie.

MATYLDA (podrzeźniając).

Tak, nie — nie, tak. Jak tylko zobaczy parę osób razem, nie można się z nią dogadać. Ależ moja droga, czas już oswoić się z ludźmi.

KASZTELANOWA.

Dokuczasz jej Matylde! (Matylde zwraca się nadająca do fortepianu i staje za Karoliną). Chodź tu Tereniu... Usiądź. (Wskazuje jej niski taburecik przy swoich nogach. Terenia siada. Kasztelanowa gładzi ją po głowie, a ona babkę w rękę całuje). Biedna sierota.

KSIĄŻĘ.

Biedną nie jest, kto taką babkę posiada.

HRABIA (z goryczą).

I nie zna fałszywych położeń, jakie tak zwany wielki świat wytwarza.

KASZTELANOWA (zwracając się do księcia).

To też najgorętszym moim życzeniem jest, aby Terenia nie opuściła nigdy naszej wiejskiej zaciszy.

KSIĄŻĘ.

Rozumiem to życzenie. (Nachyla się i mówi bardzo uprzejmie do Tereni). Czy w istocie miewa pani sny, o których szambelanowa wspominała przed chwilą?

TERENIA (przez wyciężając nieśmiałość).

Miewam...

KASZTELANOWA (poddając wyraz).

Mości księżę.

TERENIA (powtarza).

Mości księżę.

KSIĄŻĘ (do kasztelanowej).

O, pani kasztelanowo!... W tym domu, z tych ust na inny tytuł pragnąłbym zasłużyć. (Zwraca się znowu

do Tereni). W snach znajdujemy często szczęście i radość, o które trudno na jawie.

TERENIA.

O, tak!

KASZTELANOWA.

Będąc dzieckiem, niekiedy — na pełni księżyca lub przed burzą — miewała lekkie ataki lunatyzmu, czy snu magnetycznego. Lekarze różnie ten stan nazywali. Ale od lat kilku to minęło... jest, dzięki Bogu, zupełnie zdrową.

KSIĄŻĘ (n. str.).

Lunaticzka!... tem lepiej. (Głośno). W twoim wieku, panno Tereso, nietylko marzenia senne, ale i życie uśmiecha się jeszcze pełnią nadziei, całym blaskiem uroków.

TERENIA (oddycha głęboko i jakby uspokojona mówi ze względną swobodą).

Życie, jakie pędzę przy babci, jest dla mnie bardzo miłe. Nie znam wielkich smutków, prócz tych, które babunia odczuwa, które płyną z ogólnego stanu naszego nieszczęśliwego kraju, za który pan... (poprawia się) ty mości księżę... krew przelewałaś.

KASZTELANOWA (po cichu do hrabiego).

On musi podobać się Tereni.

HRABIA (po cichu).

Pragnę tego szczerze.

TERENIA.

Smutek powszechny jest duży, ogromny... ale ja mam tyle wiary w przyszłość, taką ufność w sprawiedliwość boską, że na chwilę nawet nie tracę nadziei.

KSIĄŻĘ.

Słucham z zachwytem.

TERENIA.

O! proszę pana... (poprawia się) mości księżę... nie trzeba mnie onieśmielać. Co mówię — mówię zawsze szczerze, jak myślę.

MATYLDA (do Karoliny).

Czy słyszysz, jak się rozgadała?

KAROLINA.

Słyszę. (Ciagle dotychczas grała cichuteńko, teraz z siłą uderza ostatni akord i powstaje; n. str.). Czar oddziaływa... trzeba go rozwiązać. (Do Matylde). Czy widzisz, jak księżę na nią patrzy?

MATYLDA (naiwnie).

A tak, patrzy. Wiesz, baronowa Goldsztern mówiła mi kiedyś, że ile razy na nią rzucił okiem, wnet usypiała. Czasem: salon pełny, wszyscy bawią się jak najlepiej, on spojrzy... a ona zaraz marzy, jakby się czempredziej do łóżka położyć.

KAROLINA (sucho).

Kochała się w nim na zabój!

MATYLDA (j. w.).

Czy tak?... nie wiedziałam o tem.

KAROLINA (wzruszając ramionami).

O czem ty wiesz, moja droga.



STANISŁAW JANOWSKI.



Podług fotografii JULIUSZA MIENA.

EMANCYPANTKA.

KASZTELANOWA.

Przestałaś grać Karlo?... Z taką rozkoszą cię słuchałam.

KAROLINA (rozdrażniona, z lekkim odcieniem ironii).

Dziękuję za komplement... ale pragnę przyłączyć się do ogólnej rozmowy. I my obie, Matyllda i ja, jesteśmy twojemi wnuczkami. I nam u stóp twoich miejsce się należy! (Zwraca się do męża i księcia). Augustie, mości książę... przynieście nam taburety, abyśmy i my skorzystać mogły z pieśczęt, które tylko Tereni przypadają w udziale. (Hrabia i książę powstali i szukają tabureatów).

MATYLLDA.

Karla ma słuszość. Babcia pragnęłaby nas wydziedziczyć pod każdym względem.

KAROLINA (na ucho do Matylldy).

W naiwności swojej znalazłaś wyraz prosto trafiający do celu.

KASZTELANOWA (sucho i zimno).

Wyposażyłam was dawno.

KAROLINA.

Wianem i wyprawą... nie sercem.

MATYLLDA

A my serca pragniemy. Wszyscy mnie uważają za bardzo niemądrą: i Karla, i mój mąż... a jednak ja dobrze rozumiem, że ty nas babciu nie kochasz. (Do hrabiego i księcia, którzy zbliżyli się z taburetami w rękach). Tu jeden... tu drugi. Siadam z lewej, Karla z prawej strony. Terenię pozostawiamy po środku. (Do Tereni). No, i czemu tak na nas patrzysz mała swemi zdziwionemi czy przerażonemi oczami?... czemu z nami tak śmiało nie rozmawiasz, jak z księciem?

TERENIA (która przy całym poprzednim poruszeniu siedziała nieustannie u stóp kasztelanowej).

Bo książę mówi miłym i ujmującym głosem... a przytem wiem, że walczył w polskich szeregach. Wy zaś przemawiacie do mnie z dumą lub pogardliwie; wy takie wielkie panie... więc w obec was tracę odwagę.

KAROLINA (zwracając się w stronę księcia. — Z ironią).

Książę widocznie Tereni nie imponuje.

KSIĄŻĘ.

Nie mam zamiaru komukolwiek imponować. (Do hrabiego pocichu patrząc na Terenię). Doprawdy, zachwycające dziecko... Tyle szczerzej niewinności!

HRABIA (z goryczą — po cichu).

Czy myślisz, że i tamte nie były kiedyś niewinne?

MATYLLDA (łaskając się i całując ręce kasztelanowej).

Ręczę, że Terenia tak jak ja przymilać się nie potrafi.

KAROLINA.

Ja zaś przymilać się nie umiem. Kocham... albo nienawidzę. Ale ciebie babciu nie mam jeszcze prawa nienawidzieć. (Całuje ją w rękę i mówi na wpół żartem, na wpół z ironią). Kiedyś... może... kiedy na to zasłużysz. (W drzwiach w głębi ukazuje się: szambelan, rejent i Ludwik).

KASZTELANOWA (n. str. szeptem).

Ach! jakie zmęczenie!

SZAMBELAN (do rejenta).

Czy siostrzeniec pański zawsze taki chmurny i milczący?

REJENT.

Dość często.

SZAMBELAN.

Nie słucha, nie uważa, kiedy niekiedy wzdycha... Może chory? (Wesoło). Ale mniejsza o to; opowiadam dalej. Sala oświetlona *a giorno*. W głębi cesarz, cesarzowa Eugenia i królowa Izabella; kilka pomniejszych głów koronowanych i dwór. Ciało dyplomatyczne w komplecie, senatorowie, członkowie akademii, deputowani, wojskowi, damy, świat finansów i arystokracji... aż łuna bije od brylantów i orderów. (Zatrzymuje się i spogląda w okół). A!... Całe towarzystwo już tu zgromadzone! Bardzo dobrze. Opowiadam rejentowi mój sukces w pałacu Tuilleries, na balu. Rzecz wielce ciekawa. Nie wątpię, że i najdroższa babcia zechce mnie wysłuchać.

KASZTELANOWA (n. str.).

Głupiec!

SZAMBELAN (ciągnie dalej).

Nie przeczuwałem, jaki zaszczyt mnie spotka. (Zwraca się do żony). Matylldo, siadź-no do fortepianu i zagraj walca. Wiesz tego... (Nuci. Matyllda idzie do fortepianu). Nie, nie... daj pokój... grasz bez taktu! (Zwraca się do Karoliny) Może hrabina zechce... Proszę, bardzo proszę. (Wyciąga ręce do Karoliny, a kiedy ta powstała i wyszła na środek pokoju, prowadzi ją z galanterią do fortepianu). Walca... walca... tego wiesz, co zawsze nuce. (Nuci). Utkwił mi w pamięci na całe życie. (Karolina gra). Ten... ten właśnie... ale zaczekaj, z łaski swojej, momencik. Dam znak w chwili właściwej. (Wraca na środek pokoju). Pod namiotem z weneckiego brokatu siedziała królowa Izabella, między cesarzem Napoleonem III i cesarzową. Tylko najdostojniejsi między najdostojniejszymi, oraz szambelani i adjutanci służbowi mieli do nich dostęp. (Petronella wchodzi; miała przemówić, ale zatrzymuje się, nie chcąc przerywać). Stałem nieopodal, młody jeszcze, ale pełen ambicji. O! bo już z tą szlachetną ambicją w sercu, chyba urodzić się musiałem!... Nie wysuwałem się zbyt naprzód, a jednak czułem, że oczy monarchini parę razy na mnie spocząć raczyły. Ubrany byłem w mundur kawalera maltańskiego — i już wówczas miałem ten oto komandorski krzyż Grzegorza św. na szyi. Orkiestra zagrała walca... (Nuci, a później mówi dalej). Cesarz powstał... powstała i królowa. Nigdy tego nie zapomnę! Zdawało mi się, że wzrok jej skrzyżował się z moim. Ba! i słusznie mi się zdawało. Skinęła na przybocznego adjutanta, i kłaniającemu się nisko, szepnęła słów parę. Patrząc... aż tu adjutant zbliżył się do mnie i oświadcza, że Jej Królowa Mość hiszpańska pragnie tańczyć ze mną. Drgnąłem uszczęśliwiony i posunąłem śmiałym krokiem ku wspaniałej pani. Adjutant wymienił moje nazwisko. Ona uśmiechnęła się uroczo... ach! jak uroczo... i majestatycznie oparła dłoń swoją na moim ramieniu. Osoba korpulentna — uważacie państwo — a jednak zachwycająca, kolosalnie zachwycająca! Dość powiedzieć: królowa!... Tej tuszy co... co... (obraca się na wszystkie strony w okół i spostrzega za sobą Petronellę) co panna Petronella.

PETRONELLA.

O! o!

SZAMBELAN.

Oparła rękę tu... a ja omal nie omdlałem. Co

chcecie państwo?... byłem młody, bardzo młody. (Do Matyldy). Chodź-no tu Madziu. (Matylda powstaje i zbliża się do niego). Nie, nie... ty w takt nie tańczysz... i nie masz odpowiedniej postawy. (Matylda odchodzi). Kogo by tu... kogo by tu... (Uderza się w czoło). Panno Petronello przysuń się nieco. Bliżej... jeszcze bliżej. (Petronella przystępuje z pewnym wahaniem). Proszę majestatycznie oprzeć się na mojem ramieniu.

PETRONELLA.

Ja, niby mam być królową?... to dla mnie za wiele honoru, jak prawdę kocham.

SZAMBELAN.

Nic nie szkodzi. Oprzej się panna bez wahania. Dobrze... śmiało. (Do Karoliny). Teraz zechciej zagrać hrabino. (Karolina gra). Objąłem jej kibić ot tak... i puściliśmy się walca po sali. (Tańczą).

MACIEJ (we drzwiach).

Waza na stole. (Wychodzi. — Szambelan przestaje tańczyć, a Karolina grać).

REJENT (zwykłym sobie szyderczym tonem).

Powinszować... powinszować panu szambelanowi tak sukcesu w Tuillerach, jak lekkości w tańcu.

SZAMBELAN (oddychając głośno).

Pannie Petronelli powinszować należy... tańczy... tańczy... jak królowa hiszpańska.

PETRONELLA (z westchnieniem).

E! jak prawdę kocham, tańczyło się niegdyś niegorzej.— Ale przepraszam pana szambelana, muszę lecieć, bo ja tu jestem wszystkim, więc i marszałkiem dworu. Bezemnie zupy nie podadzą jak należy. (Wybiega).

SZAMBELAN (do kasztelanowej).

Cóż mówisz najszanowniejsza babciu na moje dawne powodzenia dworskie?

KASZTELANOWA (ze źle ukrywaną niechęcią).

Nie umiem ich dostatecznie ocenić, bo się na tem nie znam.

SZAMBELAN (zwraca się do rejenta i mówi do niego po cichu).

Staruszka rozstrojona... rozstrojona kompletnie!

(Ciąg dalszy nastąpi).

(Kasztelanowa chce powstać z fotelu, ale zmęczona natychmiast siada. Terenia ją podtrzymuje i pyta z niepokojem).

TERENIA.

Babciu droga, co tobie?

KASZTELANOWA (szepcem).

Nic, nic... wiek... zmęczenie. (Głośno, do wszystkich). Zwykle o tak spóźnionej porze nie jadam, darujcie mi zatem państwo, że wam towarzyszyć nie będę. Raczej sami udać się do stołu... ja tu trochę odpocznę. Szambelan poprowadzi swoją żonę, hrabia swoją... (Ogólne poruszenie).

KAROLINA (ironicznie).

Przykładnie... małżeńskimi parami.

SZAMBELAN (bierze żonę za rękę i wybucha śmiechem).

Ja z moją Madzią, jak do poloneza. (Oboje krygują się w pozach polonezowych).

KASZTELANOWA (mimowoli syknęła, ale po chwili mówi, panując nad sobą).

Księżę poda ramię Tereni.

REJENT (n. str. ściskając za rękę Ludwika).

Sza! spokojnie!

KASZTELANOWA.

Pan Ludwik zechce mnie zastąpić... w roli wice-gospodarza. (Ludwik się kłania). Tereniu, i ty pamiętaj o gościach.

TERENIA.

Dobrze babciu. (W ciągu tego, co następuje, do końca sceny, wychodzą parami: hrabia z żoną; dalej w *pas* polonezowem śmiejący się szambelan z Matyldą; dalej księżę z Terenią; za nimi Ludwik).

KASZTELANOWA.

Pana rejenta ośmielę się zatrzymać na chwilę. Mam mu słów parę powiedzieć.

REJENT.

Chętnie, bardzo chętnie... I ja o tej porze obiadu nie jadam, zwłaszcza po tak sutem jak dzisiejsze śniadaniu. Jestem więc na usługi pani kasztelanowej do brodziejki.

ZYGMUNT SARNECKI.

## O SATYRACH KRASICKIEGO.

(Ciąg dalszy).

Wiadomo, że w satyrze można odróżnić trzy żywioły: żywioł epicki, obrazowy; żywioł liryczny, owo uczucie, z którym satyryk spogląda na ujemne strony społeczeństwa, które obnaża, uczucie stopniujące się od lekkiej ironii do najwyższego oburzenia i wzdardy; wreszcie żywioł refleksyjny, który może się kojarzyć z lirycznym, ale może i osobno, na zimno występować, a w którym się krystalizuje dydaktyczna strona satyry. W satyrach Krasickiego nie brak wszystkich trzech żywiołów. Żywioł liryczny, jak widzieliśmy, z największą siłą objawił się w satyrze pierwszej; podobne ale słabsze akcenty pojawiają się i w innych satyrach; ale tonem zwykłym, powszednim, jest ton lekkiej ironii. Żywioł refleksyjny rozsiany jest po wszystkich satyrach, ale najwięcej go w owych ogólnikowych, odno-

szących się nie do jakiejś wyraźnie odgraniczonej sfery satyrycznej, ale do całego pola satyrycznego. Żywioł opisowy występuje najpełniej w przeciwnej kategorii satyr. Krasicki w satyrach okazał wysoki talent epicki, i z tego powodu te właśnie satyry, w których się ten talent miał lepszą sposobność objawić, są arcydziełami tego poety. Naturalnie i tutaj jest pewne stopniowanie. Malując oszustów w satyrze »Szczęśliwość filutów«, Krasicki nie jest dość spokojnym, aby jego malowidło było pełne i szerokie; chociaż i tutaj postać jaśnie wielmożnego filuta, która wygląda tak, jak gdyby była modelowana z Adama Ponińskiego, występuje bardzo plastycznie: »Tobie naprzód, którego dziś postać ozdoba, — którego oko śmiało, a czoło jak z miedzi«. W satyrze *Mędreki* jeszcze mniej plastycznego żywiołu,

refleksya przeważa nad obrazowością. Ale w takich satyrach, jak *Marnotrawstwo*, jak *Oszczędność*, jak *Pijaństwo*, *Żona modna*, *Życie dworskie*, *Pan nie wart sługi* i *Gracz*, które to wszystkie satyry należą do części pierwszej, w tych satyrach mamy pełne i znakomite obrazy. Oto n. p. Konstantyn marnotrawca, co »młodo zaczął wspinać swoje panowanie«.

Rad pan wszystkim w domu,  
Wrota jego nie były zamknięte nikomu.  
Niech zna świat, jak pan dzielny, możny i bogaty,  
Grzmiały bębny na dziedzińcu, na wałach armaty,  
Żaki prawiały perory: ksiądz prefekt za niemi  
Drukiem to wypróbował, że dzieli wielkimi  
Przeszedł pan przodków swoich, godzien krzesła, tronów  
Prawnuk Piastów po matce, z ojca Jagiellonów.  
Wiwat Pan! brzmią ogromnym hasłem okolice;  
Dymy z kuchni, jak z Etny; a sławne piwnice,  
Co dziad, pradziad napełniał szacownym likworem,  
Pełne zgrai ochoczej, stanęły otworem.

Wyborną jest w satyrze *Oszczędność* charakterystyka oszczędnego szlachcica pana Michała, co chodzi w czarnym żupanie i wytartej bekieszce, na śniadanie jada wczorajszą pieczeń skrzepłą, ale ma szkatułę, którą noszą na dragach; i druga pana Piotra, co nie miał ładu w głowie, a stał i w kieszeni. Jeszcze lepszy jest obraz pijaka w satyrze *Pijaństwo*. Jego opowiadanie o tem, jak po imieninach żony wstał z bólem głowy, jak chciał wódką przytłumić nudności, jak przy obiedzie z kompanami rozmowa zaczęła się od ganienia pijatyki i chwaleń wstrzemięźliwości, przeszła przez tony największego rozczulania się patriotycznego i lży zaczynała wyciskać, a skończyła się na tłuczeniu butelek pustych o łby, to jego opowiadanie jest mistrzowskie. Dowcipnie też jest tu ilustrowana siła nałogu w epigramatycznym zakończeniu satyry, gdzie moralista - pijak, który tylko co długą tyradę wymierzył przeciw pijaństwu, żegna się z swoim towarzyszem: »Bądź zdrów«. — Gdzie idziesz? — »Napiję się wódki«. Przypomina ono bajkę Krasickiego p. t. »Kartownik«, gdzie gracz, zgrawszy się w karty, wymyślał co mu siły stało na karciarstwo; wreszcie »skończył... wziął karty w ręce i zaczął tryszaka«. W satyrze p. t. »Gracz« nie siła nałogu jest przedstawioną, ale jest świetnie odmalowany obraz tych wrażeń, jakie gra, szczególnie gra nieszczęśliwa wywołuje w grających. Oto assamble wśród luster; niosą karty i sztony i marki; zasiadają sławni szulerzy; »koło nich, jak na smyczy, pacyenty słowne«; jeden stawia na piątkę z asem połowę arendy, drugi sypie na kralkę komiegię pszenicy. Zaczyna się gra:

Przegrał niźnik, ów niźnik, co się był tak wslawił,  
Zgniół Antoni złochnię i w komin wyprawił,  
Marcin damie łeb urwał za dwa łaszty żyta,  
Klnie Jędrzej nieszczęśliwy i zębami zgrzyta  
A że sąsiad na taką, jak on, kartę stawia,  
Dąsa się na sąsiada, mruży i przymawia.  
I ów przegrał i westchnął, a Jędrzej się cieszy...  
Piotr przegrał na kralkę,

Byłby i więcej przegrał; szczęściem spostrzegł balke,  
Posunął się, a miejsca gdy lepszego sięga,  
Już nietrwożny, jak siedzi, zgrał się do szelaga.  
Zgrał się, a nowy Tytan zjadłością rozżarty,  
Jak Ossy i Pelion, rzucił w górę karty;  
Wyzywa, a w perorach żwawo rozpoczętych  
Bluzni żywych, umarłych, i grzesznych i świętych.

Inny gracz jeszcze więcej przegrał, »przecież się uśmiecha«,

Śmiech w uśmiech, a lży w oczach; więc tajemnie wzdycha,  
Żal dokucza, wstyd broni: trójka nieszczęśliwa,  
Trójka niegdyś pomyślna, a teraz zdradliwa,  
Poczwórnem złem padnięciem zgubiła go marnie...  
Poszedł smutny, siadł w kącie i satyry pisze.  
Pisz, bracie! dobre będą, piękne i zbawienne.

Ale najwięcej malarskiego, epickiego żywiołu ze wszystkich satyr ma »Żona modna«. Cała ona od początku do końca jest jednym obrazem, albo inaczej znakomitą nowelą satyryczną.

Na sprawę małżeństwa, na kobiety Krasicki zwraca baczność uwagę w satyrach. Na ten temat napisał nie tylko »Żonę modną«, ale i inną jeszcze satyrę p. t. »Małżeństwo«, a prócz tego w innych satyrach, a nawet w »wierszach różnych« dotyka tej sprawy. Wychowany wśród kochającej się rodziny, w zdrowym, czystym obyczaju rodzinnym, wysoko cenił znaczenie kobiety w rodzinnym życiu. Więc kiedy spostrzegł, że demoralizacja francuska razem z oświatą pełnym korytem zaczęła płynąć z Francji do Polski, że w życiu stołecznym, warszawskim i w życiu wyższych sfer demoralizacja ta zaczęła się bardzo szybko przyjmować, że nowa oświata zdawała się rozgrzeszać kobiety z niemoralnego życia — przeląkł się naprawdę. To też w satyrze I-ej *Świat zepsuty*, gdzie nastroiwszy się na ton Juwenala, widział wszystko w ciemniejszych kolorach, niż rzeczywiste, wołał on: »Wszędzie nierząd, rozpusta, występki szkaradne, — Gdzieżście, o matrony święte i przykładowe«. Ale pomimo tego, wiedział on dobrze, że ta demoralizacja musnęła tylko wierzchnie warstwy społeczne, że nie dotarła do rdzeni narodu, że nie zakaziła rodzinnego życia średniej szlachty wiejskiej. To też nie poszedł śladem swoich poprzedników Juwenala i Boileau, z których każdy poświęcił jedną satyrę kobietom i sprawie małżeństwa. Juwenal żył w czasach największego wyuzdania kobiet rzymskich, Boileau żył w społeczeństwie nierównie zdrowszym, ale w każdym razie w takim, gdzie harmonia życia rodzinnego była mocno zachwiana, tak, że Boileau trzy tylko Penelopy chciał naliczyć w Paryżu. To też w satyrach swoich przedstawili tak kobiety, ażeby najodważniejszych nawet odstręczyć od małżeństwa. Krasicki przeciwnie. Chciał on tylko odstręczyć od żony modnej, zepsutej stołecznym życiem, nie mającej nawet pojęcia o obowiązkach rodzinnych i takiej wizerunek dał w satyrze »Żona modna«. W satyrze »Małżeństwo« poszedł niby trochę śladem Boileau, ale

WITOŁD PRUSZKOWSKI.



Z TEKI SZKICÓW.

trony święte i przykładowe«. Ale pomimo tego, wiedział on dobrze, że ta demoralizacja musnęła tylko wierzchnie warstwy społeczne, że nie dotarła do rdzeni narodu, że nie zakaziła rodzinnego życia średniej szlachty wiejskiej. To też nie poszedł śladem swoich poprzedników Juwenala i Boileau, z których każdy poświęcił jedną satyrę kobietom i sprawie małżeństwa. Juwenal żył w czasach największego wyuzdania kobiet rzymskich, Boileau żył w społeczeństwie nierównie zdrowszym, ale w każdym razie w takim, gdzie harmonia życia rodzinnego była mocno zachwiana, tak, że Boileau trzy tylko Penelopy chciał naliczyć w Paryżu. To też w satyrach swoich przedstawili tak kobiety, ażeby najodważniejszych nawet odstręczyć od małżeństwa. Krasicki przeciwnie. Chciał on tylko odstręczyć od żony modnej, zepsutej stołecznym życiem, nie mającej nawet pojęcia o obowiązkach rodzinnych i takiej wizerunek dał w satyrze »Żona modna«. W satyrze »Małżeństwo« poszedł niby trochę śladem Boileau, ale

P. MANTEGAZZA.



FALSZY WY TON

zawsze trzymał się od niego zdaleka; mówił on tylko, że wybór trudny, że małżeństwo jest rodzajem loteryi, radził, jaką wybierać:

Niech będzie oświecona, rozum nie zawadzi,  
Ale rozum powolny, co powinność radzi,  
Rozum, co zna podległość: może to niegrzecznie,  
Przecież żony podległe muszą być koniecznie.

Ale nie odradzał małżeństwa, i owszem zakończył satyrę swoją wezwaniem wcale nieironicznym: »Żeńże się, mój bracie«. Jak wysoko cenił małżeństwo, jak wielką rolę przyznawał kobietom w odrodzeniu obyczajowym, widać to z jego wiersza do swojej krewnej, Katarzyny z Krasickich Stadnickiej, którą chwalił za to, że sama karmi swoje dzieci: »O matko dobra, co za dawnym wiekiem — Idziesz, choć jesteś i młoda i ładna«. — Stawiał on tam kobiety wyżej od mężczyzn, wzywał je, aby dawały dobry przykład i wypowiadał wiarę, że

Zglądzi wiek przyszły, co dzisiejszy szpeci,  
Z pocziwych matek dobre będą dzieci.

A jeżeli w satyrze »Żona modna« ustami nieszczęśliwego męża wołał: »Bodaj to żonka ze wsi — A z miasta — Broń Boże«, to w »Przestrodze młodemu« był jeszcze względniejszym, jeszcze lepiej usposobionym dla kobiet polskich. Ostrzegając młodego Jana przed zdradliwą matnią modnych Filid, nie tylko nie odstręczał go od małżeństwa, ale powiadał mu, że nawet w mieście znajdziesz dobrą żonę:

Znajdziesz nawet w mieście,  
Co umysł mając męski, powaby niewieście,  
Szacowne bardziej cnotą, niż blaskiem urody,  
Mimo zwyczaj powszechny, mimo przepis mody,  
Śmiać pełnić obowiązki, a proste Sarmatki,  
Są i żony pocziwe i starowne matki.  
Romans je w obowiązkach nigdy nie rozgrzesza.  
Z takich gniazd, jeśli znajdziesz, szukaj towarzysza;  
I znajdziesz. Niech odszczeka, co je trzy rachował... (Boileau).

O satyrach Krasickiego można bardzo wiele mówić, bo są one jego arcydziełem, bo w nich się najlepiej objawia jego duch i talent poetycki. Ale musimy się ograniczyć do rozważania niektórych tylko pytań: jakie światło rzucają na samego poetę? jakie stanowisko zajmują w pokrewnej poezji polskiej swego czasu?

Satiry pozwalają nam głębiej wejrzeć w duszę poety, i odkryć w niej to, czego nam biografia, oparta na innych świadectwach, nie może ukazać. Widzimy, że jakkolwiek katastrofy polityczne nie zdołały go wywabić z ustronnego stanowiska, z którego się przypatrywał śmiertelnym zapasom narodu, nie odebrały mu

(Dokończenie nastąpi).

równowagi umysłowej, a nawet humoru, to przecież nie był on obojętnym widzem tego, co się działo wtedy w Polsce i poczuwał się do pewnych obowiązków względem narodu, które też starał się wypełnić. Tem się tylko różnił od innych, n. p. od Konarskiego, że ciosy zewnętrzne przyjmował jakby fatalistycznie, jako wypadki, którym zaradzić nie można, ze spokojem, który może się wydawać oburzającym. Ale za to, widzimy to w satyrach, stan moralny narodu żywo go obchodził i wobec niego nie zakładał rąk fatalistycznie, ale z całym poczuciem obowiązku człowieka, obdarzonego wyższą potęgą umysłu, wysokim talentem literackim, występował do walki z tem, co w tym stanie moralnym widział groźnego dla przyszłości narodu. Że naród upadł pod przemocą zewnętrzną, to nie wywołało w poezji prawie żadnego echa, a przynajmniej tak słabe, że nie ma co mówić o nich; ale kiedy widział, że swoi przykładali do tego rękę, kiedy patrzył na postępowanie Adama Ponińskiego i jemu podobnych, kiedy widział, że tacy ludzie mimo jawnej zdrady wpływali na wierzch społeczeństwa i utrzymywali się na wierzchu i zaczęli nadawać ton społeczeństwu, wtedy podniósł głos śmiało i uderzył na nich z całą siłą, na jaką mógł się zdobyć. Już w pierwszej satyrze ma ich na oku na początku (Godzi się kraść ojczyznę łatwą i powolną), w satyrze »Szczęśliwość filutów« rysuje wizcrunek takiego zdrajcy i winszuje mu:

Winszuję, żeś choć zdradził, przecieć jeszcze wierzą,  
Winszuję, żeś choć okradł, nie każą ci wracać.

W satyrze »Oszczędność« mówi o przedawaniu za złoto ojczyzny i wiary (Zły to handel, o bracia, nikt na nim nie zyska). W satyrze »Klatki« odmalowawszy podobną postać człowieka, co to: »Wiedząc, że pani dobra, ale mniej ostrożna, — Kradł ją, a okradł tak dobrze, jak tylko kraść można«, powiedział, że mało klatki za to. Ale najsilniejszy cios wymierzył w tę stronę w satyrze »Wziętość«:

Był filut, jest możny.  
Wczoraj ledwo mościpan. — Dziś jaśnie wielmożny...  
Mały złodziej wart chłosty; lecz ten, co kraj zdradza,  
Lubo tyle za sobą hańb, sromot sprowadza,  
Iż owe sławne sosny z nadbrzeża Pilicy,  
Jeszcze małe do składu jego szubienicy;  
Przecież filut, wisielec, na co patrzeć zgroza,  
Wstęgi nosi na szyi, co warta powroza.

I nie poprzestał na tej jednej wzmiance o szubienicy, zakończył także satyrę tą wzmianką: »Chciałbym i ja też urósć; cóż? kiedy nie kradnę. Straszy mnie szubienica, jak spojrzę na sosnę. Więc Piotr rośnie, Jan urósł, a ja nie urosnę«.

JÓZEF TRETIK.

## TRAGIKOMEDIA KURLANDZKA Z CZASÓW SASKICH.

(R. 1727)

W zbiorach bibliotecznych księcia Pawła Łopuchina, w Korsuniu, znajdował się ongi rękopis francuski, *in folio*, z kart 68 złożony, stanowiący wyciąg z pamiętnika księcia de Liria i de Berwick, posła króla Filipa V hiszpańskiego, do dworu St.-petersburskiego w r. 1727.

Ponieważ rękopis wzmiankowany dotyczył przelotnych stosunków posła z hrabią Maurycym Saskim, synem naturalnym Augusta II i Aurory Kenigsmark, a zawierał nadto i charakterystykę wybitniejszych osobistości Polaków na dworze rosyjskim w począt-

kach XVIII wieku, zapragnął zwiedzający około roku 1850 bibliotekę korsuńską ś. p. Konstanty Świdziński, sporządzić dla siebie całkowity jego odpis, lecz gdy książe Łopuchin objaśnił, że sekretarz jego, skopiował już samowolnie ów dokument i prawdopodobnie sprzedał go jakiemuś wydawcy, odstąpił Świdziński od swego zamiaru i wynotował z rękopisu jedynie ciekawsze, obchodzące historię Polski, wiadomości.

Te to właśnie dorywcze notatki Świdzińskiego, zachowane w kartonie nr. 809 biblioteki Ord. Kra-

sińskich, stały się dla mnie punktem wyjścia i pobudką do bliższego zbadania romantycznego epizodu z dziejów kurlandzkich, w notatkach księcia de Liria wzmiankowanego i naprowadziły następnie na ślady innych dokumentów rękopiśmiennych, źródłowych, rzucających jaskrawe światło na zakulisowe, dyplomatyczne zabiegi dworów: St.-petersburskiego i warszawskiego, celem zapewnienia sobie dziedzictwa po ostatnim z dynastii Kettlerów kurlandzkich.

Sprawdzając przedewszystkiem okoliczności dotyczące nieprawego wydania pamiętnika biblioteki korsuńskiej, przekonałem się, że w r. 1845, w St. Petersburgu, ukazał się był w oddzielnej książeczce przekład, ogłoszony przez D. Jazykowa, pod tyt.: »*Zapiski diuka Liriskago i Berwikskago*«, poprzedzony przedmową, w której wydawca, nadużywając dobrej wiary czytelników, oznajmia, że wydawnictwo jego jest jakoby wyciągiem z »*Pamiętników księcia de Liria i de Berwick*«, ogłoszonych w r. 1788 przez syna jego Fitz-Jamesa.

Tymczasem, jak się to okazuje obecnie, pamiętniki marszałka de Berwick, p. t.: »*Memoires du maréchal de Berwick, écrits par lui même*«, wydane w roku 1788, jako kończące się na roku 1716, a doprowadzone przez syna autora do roku 1734, nie były i być nie mogły źródłem dokumentu, o jakim mowa. Marszałek de Berwick, syn naturalny króla Jakóba II Stuarta i Arabelli Churchill, par Anglii, naturalizowany we Francji i jako marszałek francuski zabity w r. 1734 pod Philipsburgiem, nie nosił przydomka de Liria. Dopiero syn jego, Fitz-James, zaciągnawszy się do służby hiszpańskiej, zyskał ów tytuł i w roku 1727 wysłany został w poselstwie do Rosji. On to właściwie, jako książę de Liria i de Berwick, był autorem pamiętnika, z którego p. Jazykow tak beczere-monialny swego czasu zrobił użytek.

W dalszych poszukiwaniach podjętych celem bliższego zbadania wymienionego wyżej epizodu kurlandzkiego, natrafiłem w bibliotece uniwersyteckiej w Warszawie, na spory rękopis, nr. 423, pod tyt.: »*Dyaryusz komisji kurlandzkiej z r. 1727*«, sporządzony przez sekretarza tejże komisji, księdza Krzysztofa Manteuffla, opata klasztoru sieciechowskiego, obejmujący szczegółowe dzieje rokowań delegatów Rzplitej polskiej ze szlachtą kurlandzką, w epoce od sierpnia aż do października 1727 r. nawiązanych, a szachowanych nieustannie, choć bezskutecznie, ze strony delegatów rosyjskich, generałów: Piotra de Lascy i Iwana Bibikowa \*).

Wzmiankowane materiały źródłowe, w związku z opracowaniami tego właśnie momentu dziejowego, jakie znalazłem w »*Historji Rosyji*« Sołowiewa (T. XIX) i w czasopiśmie *Ruski Wiestnik* z r. 1860, wyjaśniającymi stosunek księcia Mężykowa do kandydatury kurlandzkiej, złożyły się na uwypuklenie obrazu ówczesnych stosunków Rzplitej polskiej z Kurlandją i ujawniły niezwykłą stanowczość i energię diploma-

\*) Dzięki szacownej *Bibliografii hist. polskiej* Finkla dowiedziałem się, już po opracowaniu niniejszej rozprawy, że ś. p. Klemens Kantecki zamieścił w *Przewodniku nauk i liter.* z roku 1882 w T. I. artykuł pod tyt.: *Komisja kurlandzka w r. 1727*. Po odczytaniu tej pracy przekonałem się, że osnutą została na kopii dyaryusza, znajdującego się w Muzeum XX. Czartoryskich pod Nr. 543 i 593, te same co i egzemplarz warszawski osnowy. — Jakkolwiek w pracy niniejszej mieszczą się niejaki szczegóły nowe, przez Kanteckiego nie poruszone, pierwszeństwo wszakże w zużytkowaniu dyaryusza kurlandzkiego, niezaprzeczenie należy do nieodżałowanego ś. p. Kanteckiego. (*Przypisek autora*).

tów polskich, a w pierwszym ich szeregu — księcia biskupa warmińskiego, Krzysztofa Szembeka, w pokrzyżowaniu intryg postronnych, podjętych gwoli oderwaniu lenna kurlandzkiego od pnia Rzplitej.

Dla historyka, który badając oderwane epizody stosunków polsko-rosyjskich w drugiej połowie XVIII wieku, oswoił się już z widokiem upokarzającej zależności Rzplitej za Sasów, od wschodniego sąsiada, który, pamiętając o smutnych powodach ustępstw, czynionych przez nią ustawicznie polityce Piotra W., nie mógł sobie w inny sposób wyobrazić ówczesnej Polski, tylko — jako karczmę otwartą, do której każdemu bezkarnie wjeżdżać było wolno i żywić się kosztem zubożałej najazdami szwedzkimi ludności; ów obraz ocknienia się z długotrwałej zależności, owo poczucie własnej siły i godności narodowej, stawiającej mężnie czoło groźnym powikłaniom wojennym, stanowią w rzeczy samej godny bliższego poznania epizod z dziejów panowania Augusta II, monarchy, uważanego dotychczas za symbol wszelkich nieszczęść, jakie dynastia saska na Polskę sprowadziła.

## I.

Lenno kurlandzkie. — Zgon Fryderyka Kazimierza. — Rejencya. — Widoki Piotra Wielkiego. — Zrękowiny Anny Iwanówny. — Nadspodziewany zgon oblubiciela. — Rokowania z Augustem III.

Wiadomo, że z mocy traktatu z r. 1561 w Wilnie zawartego, wskutek przyłączenia Inflant do Rzplitej, b. mistrz inflancki, Gothard Kettler, pozyskał tytuł księcia lennego kurlandzkiego, z posiadłościami między Dźwiną i granicami Żmudzi i Litwy.

Stosunek dobrego sąsiedztwa i interesów ekonomicznych na wzajemności opartych, łączył przez półtora wieku przeszło, Kurlandję z Rzplita. Lecz stosunek ten zmienił się z chwilą wstąpienia na tron Augusta II, a właściwie, z chwilą zgonu jednego z ostatnich dynastów kurlandzkich, księcia Fryderyka Kazimierza (1698 r.), który pozostawił po sobie sześćdziesięcioletniego syna, Fryderyka Wilhelma.

Szlachta kurlandzka pragnęła powierzyć ster rządów regencyi (*Oberrathowi*); Rzplita natomiast oddała te rzędy bratu zmarłego, księciu Ferdynandowi, katolikowi, przebywającemu stale w Gdańsku, nielubianemu przez Kurlandczyków. Otrzymał on tytuł: *dux, tutor et administrator*.

Gdy się rozległy pierwsze strzały wielkiej wojny północnej, książę Ferdynand poddał bezzwłocznie małą swą armię pod kierownictwo saskiego generała Steinau, lecz Karol XII, po zwycięstwie pod Narwą, zwrócił się przeciw Sasom, rozgromił ich i wtargnął do Niemiec.

Tymczasem, wojska rosyjskie chcąc zająć tyły Szwedom, owładnęły kilkoma miastami kurlandzkimi: Schlisselburgiem, Narwą, Rewlem i Rygą i od tej chwili Kurlandya wciągniętą została w sferę interesów wschodniego sąsiada.

Wystąpienie na widownię dziejową Piotra Wielkiego, było zapowiedzią bliskiego udziałności Kurlandyi końca.

Wracając w r. 1709 z Niemiec, zatrzymał się car Piotr w Mitawie i tu, zgromadziwszy szlachtę kurlandzką, oświadczył, że zamierza skojarzyć ślubnym związkiem młodego Fryderyka Wilhelma z carówną, Anną Iwanówną.

Jakoż, niezadługo, dwaj deputaci kurlandzcy, wybrali się do Petersburga, dla zawarcia umowy przedślubnej. Car Piotr przeznaczył narzeczonej dwieście

tysięcy rubli w posagu, które miały być użyte na wykup zastawionych dóbr zmarłego księcia kurlandzkiego i nadal jako zastaw w posiadaniu Anny Iwanówny pozostawać miały.

Przybył niebawem do stolicy i księżę-narzęczony, a po odbytych ślubie młoda para wybrała się w drogę do Kurlandyi, lecz na drugiej stacji od Petersburga, grasująca podówczas ospa powaliła młodego małżonka na łożo choroby, z którego już nie powstał.

Na wieść o zgonie Fryderyka Wilhelma, opiekun jego, księżę Ferdynand, ogłosił się regentem. Rzplita polska dała na to swe przyzwolenie. Car Piotr, nie chcąc utracić wpływu w Kurlandyi, zażądał zwrotu posagu Anny Iwanówny, a tymczasem wysłał Bestużewa Riumnina, w charakterze przybocznego doradcy młodej wdowy, z zagrożeniem natychmiastowej egzekucyi sum posagowych, o ileby, przy wyborze księcia panującego pominąć chciano wpływy i rady dworu petersburskiego.

Podczas gdy kwestya następstwa tronu kurlandzkiego roztrąsaną była przez miejscowych i polskich prawoznawców, tłumaczących sobie, zgodnie z wymaganiami polityki, następstwa bezdzietności zmarłego Fryderyka Wilhelma, August II podjął na własną rękę z carem Piotrem rokowania, w sprawie oddania ręki młodej wdowy, Anny Iwanówny, jednemu z dalszych krewnych dynastyi saskiej, — księciu Saxon Weissenfels.

## II.

Kandydatura Maurycego Saskiego. — Aspiracye księcia Menżykowa. — Intrygi na dworze warszawskim. — Landtag kurlandzki. — Uniwersały.

Zgon Piotra Wielkiego osłabił znacznie wpływy dworu St.-petersburskiego w Kurlandyi. Poseł kurlandzki, von Brackell, pragnąc przypodobać się Augustowi II, zwrócił uwagę na syna jego naturalnego, hrabiego Maurycego Saskiego i skojarzeniem go ślubnemi węzły z wdową, Anną Iwanówną, usiłował pogodzić pośrednio rywalizujące ze sobą w Kurlandyi stronnictwa polityczne.

Maurycy był podówczas w kwiecie lat swoich młodzieńczych. Ubóstwiany przez kobiety, którym, i ze swej strony, należną dań holdów nieustannie i bez wyboru składał, dostąpił był już Maurycy i wawryznów bojowych pod Lille, w szeregach Marlborougha i księcia Eugeniusza Sabaudzkiego. Nie kierując się jakimiś zasadami politycznemi, walczył wszędzie, gdzie grały armaty: bądź przeciw Francyi, lub przeciw Szwedom, pod Rygą, lub wreszcie przeciw Turkom, pod Belgradem. Ambicya bez granic była pobudką wszystkich działań Maurycego i dla tego, gdy mu się uśmiechnęły widoki pozyskania berła książęcego kur-

landzkiego, wraz z ręką młodej, urodziwej i bogatej wdowy, rzucił się w odmęt intryg i wspólnie z Brackelem i Augustem II, ubiegając się o łaskę posła dworu rosyjskiego w Warszawie, ks. Dołgorukiego, jednocześnie kaptował sobie względy dostojników Rzplitej, jak np. marszałka koronnego Mniszcha i potężnego hetmana litewskiego Pocięja.

Nadspodziewanie jednak, wśród owych zabiegów, popieranych gorliwie przez szlachtę kurlandzką, wynurzyła się z toni intryg zakulisowych dyplomatycznych nowa kandydatura księcia Menżykowa do tronu kurlandzkiego, której nawet kanclerz rosyjski, hr. Ostermann, pomocną zrazu, ile się zdawało, pragnął podać rękę. Ów wybraniec fortuny, z prostego chłopca sprzedającego pierogi na ulicach Moskwy, zaliczony najprzód do kompanii »potiesznych« na dworze cara Piotra I, a następnie, jako waleczny dowódca i pogromca Szwedów wyniesiony na godność księcia cesarstwa rzymskiego, z dyplomem pochodzenia od szlachty litewskiej Mężyków, pan niezmiernych włości i sta tysięcy dusz poddanych, wszechwładny minister, po śmierci cara Piotra, na dworze imperatrowej Katarzyny I, zapragnął Aleksander Menżykow księstwa kurlandzkiego. Obiecawszy Flemingowi za protekcyę poważną łapówkę, wysłał od siebie dwóch agentów, jednego, generała Urbanowicza, do Polski i na Litwę, drugiego, generała Cetnarowicza, do Kurlandyi, by tam dlań kaptowali zwolenników.

Podczas tego, w Warszawie, zaczęły krążyć wieści, iż August II potajemnie popiera kandydaturę Maurycego Saskiego. Senatorowie Rzplitej upatrując w tem działaniu naruszenie pactów conventów, ostrzegli króla, by się w zakulisowe nie bawił intrygi i Kurlandczykom księcia nie narzucał. Żądali, by król publicznie wyrzekł się swego zamiaru. August II podpisał żądany w tej mierze skrypt, lecz jednocześnie, ponieważ nie udało mu się zjednać podkanclerzego Lipskiego do udzielenia pieczęci koronnej pod uniwersał do Kurlandczyków w sprawie zwołania *Landtagu*, wysłał potajemnie hr. Maurycego na Litwę, do hetmana Pocięja i tam pieczęć litewską pod uniwersał pozyskał.

Nie spodziewał się *Oberrath* kurlandzki, by regent, ks. Ferdynand, dał przyzwolenie na zwołanie *Landtagu* i dla tego, nadużywszy jego imienia, wydał odezwę zwołującą szlachtę kurlandzką do wyboru deputatów na sejm, z powołaniem się na przyrzeczoną ze strony hetmana Pocięja opiekę.

Akt ten wywołał burzę protestów. Przedewszystkiem zaprotestował księżę Ferdynand przeciw nadużyciu własnego nazwiska i kandydaturze Maurycego przeciwstawił kandydaturę landgrafa hessel-kassel-skiego, któremu przyrzekł zapisać testamentowo wszelkie swoje dobra ziemskie w Kurlandyi.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ALKAR.

## P O E C I E.

Jarosławowi Vrchlickiemu w 40-tą życia rocznicę, z pozdrowieniem serdecznem

Autor.

Když pravdy pelunkem ty zvadlé kráse  
Chceš osvěžiti kiev stydnoucich žil,  
Vždy zajásám ti bouřném ve souhlase...  
Jar. Vrchlickij (*Bodlači s Parnassu*).  
... »Garde tes songes;  
Les sages n'en ont pas d'aussi beaux que les fous!«  
Ch. Baudelaire (*la Voix*).

Wielki pielgrzymie poetyckich szlaków,  
Coś zbiegł Orientu wsze i Okcydenty,

Runicznych Pieśni poszukując znaków,  
Coś w morzu, księdze, w garści polnych maków  
Jednakie znalazł Piękna firmamenty, —  
Niech cię dziś, jako klucz wędrownych ptaków,  
Oblecą wszystkie liry twej fragmenty,  
Epiki wrzawne niech zagrzmia tententy,  
Sonet zadzwoni, oba orle skrzydła  
Rozwinie w przestwór, sekstyn dyamenty



Zapłoną ogniem, barwą — malowidła,  
A wszystkie borów, mórz i pól kadzidła  
Niech cię owioną, miast z kadzielnic tłumów,  
Z twych własnych ballad, nokturnów, pantumów!

Bo na cóż tobie tłumy dziś i światy?  
Tyś sam świat stworzył — i taki promienny,  
Że kto raz ujrzał zórz jego szkarłaty,  
Niw jego kwiaty i burz majestaty,  
Ten nie chce wracać do szarej Gehenny,  
Którą zwierają powszedniości kraty.  
A zechcesz ludzi? Rozbudź orszak senny:

Między gwiazd zbląkan świetne chryzoprazy,  
Oszalej raczej w objęciach Ekstazy,  
Jako Faeton — słońca dzikie żrebce,  
W dal rozhukane puść marzeń Pegazy,  
Nie dbaj, że snadź się wściekły sprzęg ich zdepce,  
Ruń, padnij raczej, niż byś tam, gdzie ślepce  
W jarzmo trzeźwości chyla czoła wole,  
Miał jasną w prochu tarzać aureolę!

Czemże są epok cnoty, grzechy, prawa,  
Prawdy i prace, wiry burz społecznych,  
Grzmiąca postępów i tryumfów sława?

H. BACHMANN.



NA PLANTACYACH.

Niewieście widma o krasie wiosennej,  
Twórców, ascetów, bohaterów, królów,  
W twej wyobraźni zrodzonych bezdennej;  
Kaź im — a z dźwięcznym szmerem pszczelnych ulów  
Wnet ci rozpoczną komedię łez, bólów,  
Szałów i szydów, upadków i wzlotów,  
Tylko ognisćiej od ziemskich helotów!

Z wyżyny snów swych nie schodź tryumfalnej  
Na bagna, kędy mądre siedzą płazy,  
Nieuskromiony, jako wicher halny,  
Orlo się wzbijaj w zenit niedojrzalny  
I, nieuchwytnie ścigając Szyrazy,  
Eolską harfą drgaj w ciszy kryształnej!

Nikła to, karła, wnet koszona trawa  
Przy tych w ros kropli odbiciach słonecznych,  
Które ludzkości cud geniuszu dawa.  
We wszechprzestrzennych tych i wszystkowiecznych  
Opalach przecuć tajnych, ostatecznych,  
W łun twoich, Kraso, szkarłatnej obsłonie,  
Niby w run znakach przedziwnych, bajecznych,  
Prażródlik bytu zwierciedlą się tonie,  
A w nich to wszystko, co w człowieczem łonie,  
Drga, kwili, płacze, tęskni, szuka, pragnie,  
Jak w puszczy mrocznej obłąkane jagnię.

Jak w turmie — więzień, tak w tem ludzkim ciele  
Śpia, skute w pęta, nieznanie potęgi.

Budzą je czasem Synaje, Karmełe,  
 A czasem same, niby skra w popiele,  
 Pożarem nagłym skrwawia widnokręgi.  
 I wstają świata wieszczę, myśliciele,  
 Olbrzymie czyny i bezdenne księgi,  
 Barw czarodziejstwa, pień przesłódkich wstęgi, —  
 I osłupiałej rzucają ludzkości  
 Mojżesz, Dant, Fidyasz, Napoleon, Dżengi,  
 Beethoven, Wroński — szmat nieskończoności,  
 Szaleństwo, marę, jądro wszech przeszłości  
 I wszech przyszłości, nepenthes, mir złoty  
 Na nieukojne, przepastne tęsknoty!

Z marzeń wyżyny nie schodź nieśmiertelnej,

Skoro posiadłeś królowanie owo!  
 Niechaj aromat łąk, puszcz kadzidelny,  
 Mórz jęk, zórz złoto, rozgwar ludów pszczelny  
 Będą jedynie sercem, co spiżowo  
 W dzwon skrytych wnętrzy bije — i w kościelnej  
 Ciszy twych głębin wieści nadzmysłową  
 Tajń, cud, przemianę krwi i ciała nową,  
 Łuk tęcz nad bezdnem, wiążący dwie sfery:  
 Że nieobjęte, wiekuiste Słowo  
 Ojczyste rzuca bezkresów etery,  
 I rozplomienia natchnień twych kratery,  
 I nieskończoność zwiera w kształtów cieśni,  
 By w ludy zstąpić w świętych hostyach Pieśni!

MIRIAM.

## Z POWODU NAJNOWSZEGO DZIEŁA Prof. ST. TARNOWSKIEGO.

(Studia do historii literatury polskiej. Wiek XIX. Zygmunt Krasiński. W Krakowie 1892, w 8-ce; str. VIII i 695.)

### II.

»Brak mej książce należytej naukowej metody: »kto w niej za młodu wyćwiczony nie był, w późniejszym wieku już jej nabrać nie potrafi, chyba że ma, »jak Szujski, szczególne po temu dary bystrości i wytrwałości. Nas zaś za młodu nikt tu w tym kierunku »nie ćwiczył, a na uniwersytetach zagranicznych nie »byłem. Oto wszystko, co w tej mierze na swoją obronę »mogę powiedzieć«...

Są to własne, niewątpliwie zbyt surowe, słowa autora »Pisarzy politycznych«, wypowiedziane o sobie. W żadnym z historycznych dzieł profesora Tarnowskiego najostrzejsza nawet krytyka nie odszukała niezajomości tej metody. Czerpie on swoje wiadomości wprost ze źródeł, rozbiera je i ocenia krytycznie, a we wnioskach bywa nawet czasami za ostrożnym. W »Kochanowskim« naprzykład, którego żywot przedstawia klasyczny teren dla rozwinięcia fantastycznych a efektownych domysłów, jest autor tak powściągliwym, iż w kwestyach spornych woli zestawzić wszystkie argumenta, opatrzyć je komentarzami za i przeciw nim przemawiającymi, — a od wypowiedzenia własnej hipotezy powstrzymać się w zupełności. Z drugiej strony nikt nie udowodnił mu czerpania materiału z drugiej ręki: owszem stara się zawsze dotrzeć do źródła. Jedną z jego wielkich zasług jest naprzykład oparcie się na bezpośrednim materiale w »Pisarzach politycznych XVI wieku«, które doprowadziło go do wskrzeszenia dla literatury kilku zupełnie zapomnianych i nieuwzględnionych przez dotychczasowych badaczy, autorów: Przyłuskiego, Grabowskiego, Wereszczyńskiego. Podstawa — spotykanego zresztą czasami — zarzutu o braku historycznej metody polega raczej na pozorach, na formie: profesor Tarnowski dąży zawsze do pewnej lekkości i przejrzystości w przedstawieniu najzawilszych i najcięższych kwestyj, a w tym celu odrzuca cały aparat cytat, nazwisk i tytułów, mogących tekst obciążyć. Unika zastanawiania się nad drobiazgami, opracowywania podrzędnych a nie wyjaśnionych dotąd szczegółów, starając się jak najprędzej dotrzeć w swych badaniach do tego, co nazywamy poglądem ogólnym; a ma rzeczywiście do takich szerokich horyzontów wzrok wyjątkowo uzdolniony i wykształcony. Najlepszym może rozdziałem w wielkim, dwutomowym jego dziele o politycznej literaturze XVI wieku jest ta niezwykle barwna i trafna charaktery-

styka całego ruchu, która pracę zamyka. Dodajmy do tego styl wytworny, gładki, układający się zawsze — nawet przy rozbieraniu najsuchszych pytań — w pięknie ze sobą powiązane i doborem słów błyszczące okresy, a będziemy mieli kilka powodów, tłómaczących nam, skąd tak niesłuszny zarzut braku historycznej metody w dziełach prof. Tarnowskiego, mógł zaczerpnąć swoje pozorne uzasadnienie.

Należy zresztą przyznać, że ściśle historyczne dociekania schodzą w jego dziełach zazwyczaj na plan drugi wobec psychologicznych i estetycznych zagadnień, którą to część literackich badań z daleko większą predylekcyą traktuje. Psychologiczne portrety rozbieranych przez niego pisarzy należą do najlepszych, jakie w literaturze posiadamy. Ma bowiem wielki dar ożywienia ich trafnym wysunięciem najwybitniejszych cech, utworzeniem z nich ostrych, czasami dość jaskrawych konturów i wlaniem w nie wielkiej dozy własnego odczucia, tak iż całość ludzi czytelnika rzeczywistością życia. Właściwością jego psychologicznej metody jest to, iż (w przeciwieństwie do Sainte-Beuve'a, z którym łączy go zamiłowanie do tej strony badań) prof. Tarnowski odrzuca chętnie anegdotyczną, biograficzną część materiału. W pierwszym bowiem rzędzie zwykł się opierać na utworach rozpatrywanego przez się autora i w nich odszukiwać tych danych, które ów pisarz musiał zaczerpnąć w sobie, aby dzieło stworzyć. Słabą stroną jego psychologicznej syntezy jest mniejsza dbałość o przyczyny, pod których wpływem w ten a nie inny sposób charakter się ukształtował. Wyjątkowo tylko zajmuje się prof. Tarnowski takim wyjaśnieniem: duszę Henryka Rzewuskiego naprzykład tłómaczy nam świetnie pewnego rodzaju atawizmem moralnym, jaki nad rodem Rzewuskich od kilku pokoleń ciążył. Ale zazwyczaj pomija takie kwestye milczeniem, lub nie dość je uwydatnia: żałować naprzykład wypada, iż w jednej z najlepszych swoich charakterystyk: Stanisława Orzechowskiego, wskazując warunki, które się na wytworzenie tego zjawiska złożyły (humanizm), (Pisarze I, 320—323) nie uwzględnił takiego ważnego czynnika, jak pochodzenie, które w tym wypadku mogłoby wytłómaczyć wiele zagadek: całą naprzykład nieskrępowaną niczem bujność tej ognistej i wrażliwej natury. I w tej mierze właśnie różni się prof. Tarnowski od pisarzy nowszych, jak Bourget, który również zwraca ogromną uwagę na

charakter pisarza, wciąga jednak równocześnie w obręb swej syntezy wszystkie zdobycze nowożytnej fizjologii i psychologii.

Co do estetyki: wiadomo, że to jest najznakomitsza strona jego studyów. Obok Klaczki nie miał i nie ma w literaturze naszej pod tym względem rywala. Obdarzony od natury ogromną wrażliwością i pobudliwością umysłu, wykształcił w sobie zmysł estetyczny przez wielką znajomość arcydzieł europejskiej literatury. Stąd pochodzi ta delikatność smaku w ocenianiu estetycznych wrażeń, której zawdzięczamy najpiękniejsze karty w jego monografiach i rozprawach o Słowackim, Krasińskim, Schillerze lub Szekspirze. Nie są to bynajmniej suche, silące się na obiektywność a wpadające w szkolarstwo oceny. Profesor Tarnowski wychodzi pod tym względem z zupełnie słusznego i przez nowszą estetykę (Veron i Guyau) w całości uznanego i obronionego stanowiska, że rozumowaniem czysto logicznym, wychodzącym z pewnej formuły i rozbijającym na krzyżu wszystko, co w jej granicach się nie mieści, nie można sądzić tak nieujętych, tak subiektywnych objawów ducha ludzkiego jak dzieła sztuki. Bardzo wyczerpująco i obszernie zastanawia się zawsze nad wrażeniami, jakie w czytelniku (t. j. w nim) pewne dzieło sztuki budzi, analizując umiejętnie i subtelnie sposoby, któremi autor zamierzonego celu dopina lub dlczego go nie dopina. Charakterystyczną formą tych analiz jest streszczanie utworu: tak, że szkielet dzieła tworzy również zupełnie analogiczny do siebie szkielet dla spostrzeżeń i uogólnień, dostarczanych czytelnikowi przez krytyka. Wielka łatwość myślenia syntetycznego ułatwia prof. Tarnowskiemu uniknięcie grożącego dla każdego innego umysłu niebezpieczeństwa rozproszenia się i rozbicia na tej drodze. Jego uwagi są jak rzędy błyszczących kamyków, obok siebie nanizanych: czuć zawsze sznurek, który je trzyma razem i rozpaść się nie dozwala. Przy jakiegokolwiek nadarzącej się sposobności nie zaniedba autor spojrzeć w tył na całość omówionego dzieła, zebrać razem wnioski, wyciągnięte indukcyjnie z rozrzuconych po całej monografii spostrzeżeń, spinając w ten sposób, jak gdyby kłamrą, luźny na pozór łańcuch dotychczasowych swych uwag.

I tu jest miejsce na wskazanie jednej z właściwości rozbiorów prof. Tarnowskiego, z której mu niejednokrotnie czyniono zarzut. Silne zasady społeczne i moralne, do których autor w życiu doszedł, odgrywają wybitną rolę w jego pracach. Obok rozstrzygnięcia pytań historycznych, psychologicznych i estetycznych, jakie pewien przedmiot badaczowi nastęrcza, zwykł się jeszcze prof. Tarnowski zastanawiać nad etyczną i polityczną wartością rozbieranych przez się pisarzy i dzieł, sądząc ją — co rzecz naturalna — ze stanowiska, jakie sam za dobre uważa. Czyni to zaś — co należy podnieść — bynajmniej nie bezwiednie, ale z umysłu i zdając sobie jasno z tego sprawę:

»Przyznaję, że w przyszłości jak w terażniejszości podług tego »ludzi sądzę, cenię i lubię, czy rzeczypospolitej służą, czy jej szkodzą... »Że moje zdanie o ich zasłudze lub szkodliwości może być mylne, to »wiem: ale tego stanowiska zmienić nie mogę, bo musiałbym na to »zmienić rodzaj swego umysłu i swojej natury, a to odemnie nie zależy. Gdybym mógł wreszcie — nie wiem, czybym chciał stanowisko »to zmienić. Rozumiem, że odmienne jest w teorii lepsze, i mniej wystawione na zarzuty. Winszuję uczonym, którzy w pracach uczonych »mogą zostawiać na boku ten cel praktyczny, tę moralną i polityczną »naukę, której w książkach polskich sam od młodości szukam i żądam. »Ale u nas, zdaje mi się, jest do zrobienia i nauczania się tyle, że »wszystko co może, do tego praktycznego celu i pożytku zmierzać powinno. Doskonale zachowane stanowisko naukowe jest wyższe nie-

»wątpliwie, ale »biada wiedzy, która nie pomaga wiedzącemu«. Jeżeli to »jest prawdą dla innych, to cóż dopiero dla nas, którzy tej praktycznej »pomocy najbardziej potrzebujemy«.

(Przedmowa do »Pisarzy polit.«).

Należałoby tu, zdaje nam się, rozróżnić dwie strony tego zarzutu. Bezwzględna obiektywność, pozbycie się ze strony sądzącego wszystkich indywidualnych przekonań, oschłe rejestrowanie zapatrywań moralnych lub politycznych ocenianego przez siebie pisarza bez odsłonięcia własnego zdania, jakie się o ich wartości posiada, nie jest chyba nie tylko rzeczą pożądaną, ale nawet możliwą. Dziś zorientowaliśmy się już bardzo dobrze w tem, że nawet tak obiektywny na pozór pisarz, jak autor »Rewolucji francuskiej« i »Literatury angielskiej«, Taine, nie jest bynajmniej wolny od pewnych niechęci lub sympatyj, i że różnica między nim a wielu innymi historykami literatury, polega w znacznej części na tem, iż oni się z swoim »subiektywizmem« w sądeniu nie tają, a on pokrywa go pozornie prawem »wzajemnego oddziaływania« społeczeństwa na jednostkę i jednostki na społeczeństwo. Prawda bowiem, że wprost nie chwali i nie gani, ale ileż razy czyni to pośrednio, bezwiednie może nawet, przy grupowaniu lub analizowaniu faktów! Bo uniknąć bezwzględnie tego się nie da, i jeżeli tylko subiektywizm autora, przebłyskujący w ocenie, nie przechodzi granic ścisłości naukowej, jeśli nie prowadzi go do zamilczania pewnych faktów a sztucznego wysuwania lub fabrykowania innych, jeśli, jednym słowem: nie teoria faktami, ale fakta teorią rządzą, to doprawdy oświetlenie ich z pewnego stanowiska etycznego lub politycznego jest nawet pożądanem uzupełnieniem uogólnień historycznych, psychologicznych lub estetycznych.

Pozostaje jednak strona druga powyższego zarzutu. Wyrok potępienia lub pochwały, wydany przez autora sądzącego, jeśli ma mieć pewną wartość naukową, jeśli ma rzeczywiście rzucać jakiegokolwiek światło na dzieło, pisarza lub epokę, nie może być absolutny, to znaczy musi być orzeczone z uwzględnieniem tych czasów, o których się pisze, a nie tych, w których się pisze. Konsekwentne przeprowadzenie tej zasady względności i teoretyczne jej uzasadnienie w dziedzinie krytyki sztuki, będzie jedną z niespożytych zasług, które historia literatury w najpóźniejszych zapewne nawet czasach Taine'owi przyzna. A tem więcej należałoby ją stosować tutaj; doszedłszy do przekonania, iż pewien prąd cywilizacyjny lub polityczny może być w dzisiejszych stosunkach dla nas zgubny lub zba wienny, trudno robić z tego zarzut pisarzowi XVI wieku, iż w owej epoce czuł i myślał inaczej. W myśl zasady względności należy zbadać na podstawie ówczesnych stosunków, jaki prąd mógł być wówczas pożądanym i w miarę rezultatów tego badania sądzić dopiero rozum polityczny lub uczucie tego, o którego chodziło. W ten tylko bowiem sposób uniknie się tendencyjności i doktrynerstwa, nadających dziełu naukowemu piętno aktualne, publicystyczne; — i tylko taki względny sąd, aczkolwiek zupełnie subiektywny, może dać ową »moralną i polityczną naukę«, może być ową »wiedzą, która powinna pomagać wiedzącemu«.

Profesor Tarnowski nie należał nigdy do pisarzy, których ideałem jest suchy, rejestrujący fakta obiektywizm. Posiada on czuły zmysł moralny i polityczny i rzeczywiście »podług tego ludzi sądzi, ceni i lubi, czy rzeczypospolitej służą, czy jej szkodzą«. O ile się to do terażniejszości, do wieku XIX, odnosi, niema

chyba jego badaniom nic w tej mierze do zarzucenia. Rozebrawszy takich pisarzy jak Słowacki lub Krasiński pod względem psychologii lub estetyki, zastanawia się nad wartością etyczną wygłaszanych przez nich poglądów z gorącym uczuciem i siłą przekonania. Przypominamy naprzykład przesłiczną ocenę z tego stanowiska »Grobu Agamemnona« (*Prz. polski*, 1867, str. 283—4), »Króla Ducha (str. 404—409) lub arcydzieł poezji Krasińskiego. Sądzi gorąco, unosząc się a raczej podnosząc niekiedy w swym podziwie lub oburzeniu na wyżynę uwielbienia albo gwałtownej inwektywy. Umie czytelnika porwać tą wewnętrzną siłą przekonania, jaka tkwi w jego dowodzeniach i rozgrzać swoim zapalem. Co zaś należy do wielkich darów jego talentu, to umiejętność odłączenia kwestyi estetycznej od etycznej; potępiający sąd moralny lub polityczny nie zaślepia go bynajmniej na głębokie piękności poetyckie i literackie, jak się rzecz ma na przykład z »Wierszem do autora trzech psalmów« lub z utworami Henryka Rzewuskiego.

Inaczej z czasami dawniejszemi. Tutaj autorowi znacznie trudniej stanąć na gruncie ówczesnym i mierzyć wszystko miarą względności. Stąd wynikają pewne braki w ocenach dzieł dawniejszych, zwłaszcza w »Pisarzach politycznych XVI wieku«. Charakterystyka wartości pomysłów Ostroroga może służyć za wybitny dowód przykładania późniejszej miary do czasów jagiellońskich. Zarzutu tego jednak uogólniać nie można, zwłaszcza, że ci sami »Pisarze polityczni«, a przede wszystkim »Kochanowski«, mogliby dostarczyć nie jednego dowodu na obalenie takiego zbyt pospiesznego uogólnienia. Należy tylko stwierdzić pewną skłonność do wykroczeń w tym kierunku przeciwko zasadzie literackiej metody.

Wspomnieliśmy nazwisko Taine'a i korzystamy z tego, aby określić stosunek prof. Tarnowskiego do jego socyologicznej teorii, która — tyle nowego do nauki wnosząc — cieszyła się w niektórych kołach przez długie lata bezwzględna admiracją, tak, że dopiero w najnowszych czasach, pod wpływem studyów Bourgeta, Posnetta, a nawet Hennequin'a zaczyna się szerzyć przekonanie o jej wyłączności i zacieśnieniu w obrębie rasy, otoczenia i chwili. Profesor Tarnowski metody Taine'a nie przyjął nigdy: celem jego badań, skupiającym głównie na sobie jego uwagę, pozostały — jak dawniej — dzieło, pisarz, indywidualność pewna. Jeśli w »Kochanowskim« naprzykład kreśli szeroko i wiernie obraz cywilizacji czasu i społeczeństwa, które wielkiego poetę wydało, to dlatego przede wszystkim, aby zrozumienie genezy poetyckiej Kochanowskiego i oświetlenie jego osoby umożliwić. Porównajmy zaś z tem obraz renesansu angielskiego i charakterystykę jego piewców: Sidneya lub Spencera, w dziele Taine'a. Taine szuka w odrodzeniu śladów psychologii narodu angielskiego, a Sidney lub Spencer zajmują go tylko o tyle, o ile są wybitnymi objawami ogólnego stanu. Stosunek między charakterystyką społeczeństwa a pisarza jest więc w jego dziele wprost odwrotny, niż w pracy prof. Tarnowskiego; objawiają się między nimi takie różnice, jak na polu ekonomii (jeśli wolno dla ilustracji użyć tak odległego porównania) między zwolennikiem szkoły socyalnej a wy-

znawcą manczesteryzmu: z jednej strony poddanie jednostki pod silną centralizację społeczną, z drugiej wysunięcie indywidualności na plan pierwszy.

Ta różnica pociągnęła za sobą w konsekwencyach swoich, że profesor Tarnowski nie kładł nigdy takiej wagi, jak uczniowie francuskiego historyka, na odszukiwanie w pewnym pisarzu śladów wpływu rasy, z której wyszedł, lub warunków społecznych, w jakich wzrastał, zbliżając się raczej — jeśli go już z jakim europejskim pisarzem porównać mamy — do metody, starającej się wiązać zjawiska literackie z ogólnymi umysłowymi prądami, jakie cywilizowanym światem w danej epoce wstrząsały (Brandes). W ten sposób naprzykład zużytkowuje kilkakrotnie w swoich studyach prądy humanistyczne XVI wieku, uwydatniając w związku z nimi indywidualności takie jak Orzechowski lub Kochanowski. Jest to jednak tylko pewne zbliżenie na jednym punkcie, to znaczy nie ma żadnej zależności od berlińskiego profesora.

Nakoniec parę uwag o stronie zewnętrznej jego krytycznej działalności. Pracuje dużo a pisze z łatwością. Monografie literackie jego pióra, gdyby je zebrać razem, mogłyby się złożyć z pewnością na kilkanaście pokaźnych tomów. W jego formie zastanawia przede wszystkim błyszczący styl, wykazujący pewne zbliżenie z utworami Klaczki. Łączy go naprzykład z Klaczką wielka misterność w użyciu cytaty, którą umie spoić w jedną nierozdzieloną całość ze swoim zdaniem, tak że zwrot obcy wygląda w pośród jego słów jak kosztowny kamień, oprawiony dla podniesienia blasku w jasny kruszec. Kunsztowność formy prof. Tarnowskiego polega dalej na umiejętności układania okresów długich a przejrzystych, przerywanych i ożywionych często wtrącanymi zdaniami krótkimi, urywanymi, w które najczęściej autor lubi włożyć — niejako mimochodem — swoje osobiste wrażenie lub zapatrywanie. Język jego, oprócz kilku stale powtarzających się błędów (np. dwoma zasadami *Krasiński*, str. 679), jest bardzo piękny i czysty; panuje nad nim autor doskonale, naginając go od wzniosłości i patetyczności aż do ironii i uszczypliwości. To panowanie nad formą pozwala mu w polemikach być czasami okrutnym może, przesywającym przeciwnika na wskrós ironią, jak szpada (»Rachunki« Bolesławity), czasami znowu druzgocącym go siłą i gwałtownością wyrażenia (»Sedan francuzkiej poezji«), ale chroni się od wykroczeń i przebrania miary w obu kierunkach: od złośliwości i brutalności.

Jednym ze słusznych zarzutów, czynionych zewnętrznej stronie jego prac jest spotykana czasami rozwlekłość wyrażenia. Lubi swe sądy oblekać, dla lepszej dobitności, w grupy coraz to nowych słów, wyczerpując w ten sposób i określając dokładnie wszystkie odcienia możliwe tego, co chciał wypowiedzieć. Niejednokrotnie musi to znużyć czytelnika, który właściwą myśl autora przeniknął od razu. Dzieje się to jednak dla uniknięcia owej Tacytowskiej zwięzłości, co tak często najpiękniejsze myśli Szujskiego wtłacza w ciasnotę słów, w której pomieścić się nie mogą a rozsadzając ją gwałtem, tracą na swej jasności. *Incidit in Scillam, qui vult vitare Charybdim.*

STANISŁAW ESTREICHER.

(Dokończenie nastąpi).



## Z FRANCUSKIEJ LITERATURY PRAWNICZEJ.

(Ciąg dalszy).

Trzeci z wyżej wymienionych kierunków, t. j. ekonomiczny, zawdzięcza konkursowi Akademii swoje jasne sformułowanie i oba dzieła wymienione w nagłówku. Nie jest on jednak tak młodym, jak jego dokładna teoria. Stosunek prawa do ekonomii politycznej rozwijał już Rivet (*Des rapports du droit et de la législation avec l'économie politique*), a poświęconem mu jest także tłumaczenie Minghetti'ego (*Des rapports de l'économie politique avec la morale et le droit*). Zdaniem Rossi'ego<sup>1)</sup> kodeksy francuskie znalazły się między dwoma niesłychanie doniosłymi faktami: rewolucją socjalną i ekonomiczną. Uregulowały pierwszy z nich, ale nie mogły postąpić tak samo z drugim. Jest to przeto luka, którą trzeba wypełnić, zaprowadzając harmonię między prawem prywatnym a stanem ekonomicznym. Tą samą kwestyą zajmował się i kongres stowarzyszenia francuskiego dla popierania nauk, odbyty w Lille i Nantes. Przedstawiona mu broszura p. Józefa Lefort (*Des rapports de l'économie politique avec le droit. Paris 1875*), zawierała myśli ekonomiczne, którym ustawodawca dawać musiał wyraz w ustawach, częstokroć nie zdając sobie z tego nawet sprawy. Wedle autora żadna nauka nie posiada dla prawa tak wielkiej doniosłości, jak ekonomia polityczna, bo żadna nie jest w stanie wytłumaczyć tak dobrze motywów ustaw, wskazać sposoby rozwiązania tysiąca niepewnych wypadków, oznaczyć wreszcie te wszystkie punkty, gdzie prawo powinno interweniować. Kierunek ten wyświełonym jednak został dokładnie dopiero z chwilą wyłonienia się kwestyi nauczania ekonomii politycznej na fakultetach prawa. Skłania to z jednej strony między innymi i Laveleye'a<sup>2)</sup> do zabrania głosu w tej sprawie, z drugiej zaś Akademia ogłasza konkurs na napisanie dzieła o stosunku ekonomii politycznej do prawa, a wynikiem jego nagrodzone prace Jourdan'a i Béchaux'a. Wywody tych trzech uczonych oświetlają wzajemne stosunki dwóch nauk z trzech różnych stron stosownie do stanowiska, z którego patrzą na badany przedmiot, metody, którą się posługują, literackiego wreszcie charakteru, którym się odznaczają. Rozpatrzenie się we wszystkich chroni od jednostronności, a w każdym razie obraz czyni pełniejszym.

Laveleye udowadnia potrzebę poznania prawa przez ekonomistę, jak niemniej konieczność przyswojenia sobie zasad ekonomii przez prawnika. Dla ekonomisty potrzeba ta jest widoczną i niewątpliwą, bo przecież przedmiotem ekonomii nie jest nic innego, jak (str. 898) wynalezienie praw i instytucyj zdolnych podnieść produktyjność pracy, a w konsekwencji spowodować wzrost bogactwa i jego sprawiedliwy rozdział. Idealem ekonomisty jest dobrobyt wszystkich, uzyskany i utrwalony w myśl zasad sprawiedliwości. Prawa jednak i instytucje, które do takiego dobrobytu prowadzą, nie są dogmatami apriorystycznymi, ale wynikiem badania natury człowieka w ogóle, a temperamentu każdego narodu w szczególności, wspierać się muszą na faktach skonstatowanych przez historię, statystykę i opisy różnych krajów. Hi-

<sup>1)</sup> *Mélanges d'économie politique* (Paris, 1857). T. II. str. 22 i nast.

<sup>2)</sup> *W Revue des deux Mondes* z 15 stycznia 1878, str. 891 i nast.: *Des rapports de l'économie politique avec la morale, le droit et la politique*.

storia wszystkich społeczeństw dowodzi, że wolność człowieka ujęta była zawsze w ramy instytucyj prawniczych i przykazań państwa. To też kto nie zadowolnia się luźnymi i abstrakcyjnymi teoriami, powinien studyować najpierw wpływ tych praw i instytucyj. Nie są one jednakowemi w różnych krajach i w różnych epokach, a zmieniają głęboko system produkcji, w szczególności zaś rozdział dóbr (str. 900). To też Laveleye zgadza się zupełnie z Wagnerem, że rozwój ekonomiczny narodu zależy naprzód od postępów technicznych różnych gałęzi przemysłu, a następnie od stanu ustawodawstwa, które jest podstawą i regułą czynności ekonomicznych jednostek. Nie przeczy jednak, że te czynniki wpływają na siebie wzajemnie, tak, że niejednokrotnie nie można rozeznaczyć, który z nich jest właściwie pierwotną przyczyną zmian, jakie w nich zachodzą. Tyle o potrzebie prawa dla ekonomisty, ale niemniej ważną jest znajomość ekonomii dla prawnika, który ustawę tłumaczy, dla sędziego, który ją stosuje i ustawodawcy, który ją uchwala. Kto zadowolnia się rozstrząsaniem tekstu, temu wystarczą specjalne komentarze i niewolnicze trzymanie się recepty, jaką przepisują ustawy. Kto jednak sięga do dna, do źródła norm prawnych, ten znajdzie tam motywy ekonomiczne, które niejednokrotnie są jedynym środkiem rozwiązania trudności interpretacji. Tak np. tłumaczy Laveleye własność i jej powstanie, zgadzając się w tem znowu z Wagnerem, służebności i t. d. Reasumując, stwierdza Laveleye, że celem wszystkich nauk społecznych jest umożliwienie człowiekowi dojścia do najwyższej doskonałości, jaką może osiągnąć, a środki tylko, jakie doradzają, są różne. »Prawo określa stosunki ludzi między sobą i stosunki ich do rzeczy, ekonomia polityczna zaś, studyując skutki ustaw, dyktuje prawu pozytywnemu reguły, które powinno sankcyonować.« (str. 919)

Gdyby Laveleye zkażinąd nie ściągnął na siebie zarzutu, że jest dyletantem, to ten artykuł więcej popularny, niż ścisły, raczej obliczony na zaspokojenie potrzeby chwili bieżącej, niż naukowy, jednym słowem artykuł dziennikarski nie mógłby właśnie ze względu na cel swój posłużyć za podstawę do takiego sądu. Szczególnie wzajemny stosunek ekonomii do prawa nie jest należycie rozjaśniony, a wyrobienie sobie zdania o nim utrudnia pomieszanie nauki z faktami. Do kwestyi tej wróć poniżej, jest ona bowiem i u Jourdan'a i u Béchaux'a zasadniczą. Nie można jednak nie podnieść, że dla Francuzów w czasie, gdy Laveleye to pisał, była to rzecz nowa. Wskazanie prac Schmollera (*offene Briefe an Treitschke*), Wagnera i innych było ożywieniem skamieniałych teoryj, w których się dotychczas obracano. A odnosiło się to tak do prawa (*les sens des textes*), jak i do ekonomii (*les théories abstraites et vagues*). Zmienność przepisów prawa stosownie do czasu i miejsca, zależna od całego szeregu czynników historycznych i innych, nie była uznana przez wierzących w stałe i niezmiennie prawa, mające rządzić zawsze i wszędzie ludzkością. Teorię tych ostatnich przedstawia klasycznie Jourdan.

Jourdan jest przede wszystkim otwartym zwolennikiem szkoły filozoficznej czyli dedukcyjnej. Uznaje stanowczo pewne zasady, pewne prawdy oczywiste, z których wolno wyciągać konsekwencje mniej lub więcej ściśle. Taką prawdą jest naprzykład to, że czło-

wiek musi żyć w społeczeństwie, że główną sprężyną działalności ludzkiej jest interes osobisty i t. d. Nie zrzeka się jednak korzyści, jakie przynosi historia; różnicę między szkołą, do której należy, a szkołą historyczną widzi tylko w tem, że między zjawiskami społecznymi wyszczególnia te, które mają racją bytu jedynie w pewnych okolicznościach czasu i miejsca, od tych, które mają charakter stały »conforme à la nature de l'homme et à l'ordre essentiel des sociétés humaines«. Bez abstrakcyi nie rozumie nauki, to też działalność szkoły historycznej wydaje mu się empiryzmem bez zasad, bez reguł, a historycy dyletantami, którzy znajdują upodobanie w pracach, zapewne bardzo interesujących, »mais qui semblent oublier que le droit est une science d'application à l'usage de la masse du peuple«.

Taką posługując się metodą, porównywa Jourdan dwie czyste, idealne nauki tj. naukę ekonomii politycznej z nauką prawa. Nie jest to zestawienie zasad pierwszej z pozytywnymi ustawami jakiegoś kraju, ale wykazanie stosunku między »naturalną« ekonomią polityczną, a prawem »naturalnym«. Przez pierwszą rozumie »naukę o bogactwie«, przez drugie »naukę o sprawiedliwym i niesprawiedliwym«. Tę ostatnią przeciwstawia wyraźnie istniejącemu ustawodawstwu, bo to jest tylko stopniowem usiłowaniem zrealizowania zasad owego doskonałego, idealnego prawa, owej »czystej« znajomości sprawiedliwego i niesprawiedliwego. Uznając w ten sposób, że istnieje prawo i ekonomia niezależna od czasu i miejsca, zastrzega się jednak, że jego prawo natury nie jest prawem ludzi żyjących w stanie poprzedzającym utworzenie się społeczeństwa, naturalną zaś ekonomię polityczną odróżnia od chimerycznej, bo ta ostatnia zapoznaje prawdziwą naturę człowieka, jego uczucia i jego najgłębsze instynkty.

Taką jest podstawa, na której buduje Jourdan. Zbytecznym jest chyba wytaczać cały arsenał argumentów, jakie się dadzą podnieść przeciwko tego rodzaju teoryom. Są one tak znane, jak zwietrzałym i porzuconym jest zapatrywanie o »naturalnej« ekonomii i prawie »naturalnym«. Przytoczyłem je, bo wywody Jourdan'a charakteryzują doskonale panujący jeszcze dziś przeważnie w nauce francuskiej kierunek. Czem jest ta »naturalna« nauka o bogactwie, co jest sprawiedliwym, a co niem nie jest, z kąd można poznać zasady jednego i drugiego, jaka jest ich treść, nie może naturalnie wyjaśnić i Jourdan, a to, co w tym względzie mówi, sprzeciwia się kardynalnie jego podstawowym poglądom. Przyznaje bowiem, że »na razie«, »w danym czasie« za sprawiedliwe musi być to uważane, co władza jako takie ogłosi i co opatrzy swoją sankcją, a więc że wyrazem sprawiedliwości, jej pojęcia w danej chwili, są pozytywne ustawy (str. 39)! Co do prawa, to zarzuca mu to samo i akademia nauk moralnych i politycznych, której sprawozdanie stwierdza, że Jourdan przekroczył granice porównania danych dwóch nauk, prawo bowiem »to nauka ściśle pozytywna i praktyczna«.

Określając stosunek ekonomii do prawa w powyższym znaczeniu, zaznacza Jourdan, że obie te nauki są naukami moralnymi i społecznymi, że mają nadto wspólne źródło, którem jest »l'instinct de la sociabilité« i wolność ludzka. Na tej podstawie określa on prawo jako »science de la liberté appliquée à l'ensemble des rapports entre les hommes vivant en so-

ciété«, a ekonomią jako »science de la liberté appliquée à la production et à la repartition de la richesse«. Trudna ta do zrozumienia definicya \*) charakteryzuje jednak liberalizm autora, którym przeniknięte są wszystkie jego wywody. Własność i wolność umowy są wedle niego nietylko podstawą rozdziału dóbr (str. 85), ale i jedynym środkiem, który doń prowadzi. To też zdaniem Jourdana i źródło i cel jest wspólnym obu naukom. Z dążenia człowieka do zaspokojenia potrzeb jak najmniejszym nakładem płyną wszystkie urządzenia społeczne i przemysłowe. Studjuje je najpierw ekonomia polityczna, później zaś sankcyonuje i wprowadza je w praktykę prawo. Stąd też ekonomia polityczna sięga wyżej, niż prawo, z którym znajduje się niejako w stosunku przyczyny do skutku. Ekonomia polityczna dostarcza materiału, który prawo »met en oeuvre«.

Oto szereg dogmatów Jourdana. Oprócz kilku przykładów rzucone są one bez dowodów, jako pewniki, jako »vérités d'évidence«. Pomijając jednak ten brak dowodów, a skłaniając się nawet do uwierzenia w każdy z nich z osobna, niepodobna uwierzyć we wszystkie razem. Sprzeczności są widoczne. Jeżeli się prawu przyzna wszechmocność, jeżeli się uwierzy, że »zasady« ekonomiczne bez ustawy nic nie znaczą, że działają jedynie wtedy, jeżeli ustawodawca da im sankcję i egzekutywę, to logicznie dojdzie się do uznania za możliwe wszystkich systemów, które sam Jourdan nazywa »chimerami«. Można by wtedy zasnąć pod rządami systemu gospodarstwa kapitalistycznego, a obudzić się pod berłem komunizmu, gdyby przez noc ustawodawcy przyszła ochota temu ostatniemu dać swoją sankcję. Stanowiska tego jednak nie broni Jourdan dalej, bo, jak już wyżej zaznaczyłem, jest liberałem czystej wody, dla którego wolność jest i podstawą i środkiem osiągnięcia celu z ekonomii i w prawie. Jeżeli jednak tak jest, to prawu przypisać musi rolę podrzędną, a w rozwoju gospodarstwa interwencya ustawodawcy nie może być uważaną za konieczną, jak tego chce Jourdan. Nie koniec jednak na tem. Z tego rodzaju związku, jaki zdaniem Jourdana zachodzi między ekonomią a prawem (przyczyna i skutek), nie można bez zapoznania logiki mówić, że pierwszą rządzą inne zasady niż drugiem. Jeżeli zasadą ekonomii jest uzyskanie największej ilości środków zaspokojenia potrzeb jak najmniejszym nakładem, jeżeli nią jest »użyteczne«, to jedynie racjonalnym byłby wniosek, że to samo ma miejsce i w prawie, że sprawiedliwym jest to, co jest użytecznym dla tworzącego prawo. Prawdziwość tego wniosku jest tak oczywista, że Jourdan przyznając, że każda z tych nauk, które bada, jest »science des intérêts«, w ten tylko sposób broni odrębności swego pojęcia »sprawiedliwości«, iż przyjmuje dwa rodzaje interesu, interes moralny i materialny (str. 58). W tym jednak wypadku, zwolniony od zarzutu nielogiczności, nie może być uwolniony od wypełnienia luk, jakie w jego książce ten podział wywołuje. Napróżno bowiem szuka się odpowiedzi na pytania, czem jest interes, jaka różnica między interesem moralnym a korzyścią materialną, czy istnieją jakie obiektywne dane do odróżnienia jednego od drugiego, czy w ogóle można ubrać w przedmiotową szatę uczucie korzyści i t. d. i t. d.

\*) Na str. 288: »La liberté est une science, dont le droit et l'économie politique recherchent et forment les principes!«

## K R O N I K A.

\* W redakcji naszej złożoną została lista składek na budowę domu akademickiego w Krakowie, na której łaskawi ofiarodawcy wpisywać się mogą i składać dary na sympatyczną i pożyteczną instytucję.

\* Komitet złożony z kilkunastu wybitnych osobistości, należących do rozmaitych sfer towarzyskich naszego miasta, postanowił obchodzić uroczystości w d. 19 b. m. pięćdziesiątą rocznicę biskupstwa Leona XIII. Przygotowania są już w toku. Punktem kulminacyjnym obchodu ma być zgromadzenie ludowe w jednej z największych sal Krakowa.

\* W przyszłych — bliższych i dalszych — zeszytach *Świata* pomieścimy: portret *Leona XIII*, z powodu jubileuszu, oraz sylwetkę literacką Jego Świętobliwości; dwa portrety *Teofila Lenartowicza* oraz studium obszerniejsze o poecie; charakterystykę *Jaroslawa Vrchlickiego*, poety czeskiego, z powodu przypadającej w miesiącu bieżącym czterdziestoletniej rocznicy jego urodzin; studium o *Goldonim*; artykuł szerszy o *Augustie hr. Cieszkowskim*. Są to — jak wiadomo — smutne i wesołe, obce i polskie aktualności roku bieżącego.

\* Rada miejska krakowska uchwaliła wziąć inicjatywę w zawezwaniu społeczeństwa polskiego do zbiorowej akcji, umożliwić mogącej przeniesienie zwłok *Teofila Lenartowicza* do grobu zasłużonych na Skalce w Krakowie. W tym celu powołał p. prezydent Słachtowski do pracy komitet, złożony z trzydziestu paru osób, który zająć się ma zbieraniem składek. — Dzienniki przepelnione są korespondencjami z Florencji, opisującymi szczegółowo nagły zgon poety. Na szpalty gazet — jak do skarbonki — wrzucane są niemal co dzień drobne, ale interesujące szczegóły z jego życia, które biografowie prawdopodobnie sumiennie notować będą i w szerszym opracowaniu podadzą. — W ostatniej chwili przeważał w opinii publicznej zamiar złożenia zwłok *T. Lenartowicza* we Lwowie, na cmentarzu *Łyczakowski*, obok *Goszczyńskiego* i *Balińskiego*.

\* Mamy przed sobą dwa pierwsze zeszyty »Pozostałych nieznanach prac *Artura Grottera*, zebranych przez jego siostrę i wydanych w Wiedniu przez nakładcę *Maurycego Perlesa*. Niema innego wyrażenia na określenie wartości tych przedziwnych heliografiowych reprodukcji, wykonanych w zakładzie *R. Paulussena (Die Gesellschaft für vervielfältigende Kunst)* — który dla naszego *Świata* tyle pięknych dzieł odtworzył — jak: »doskonałe« lub »prześliczne«. Ależ bo i oryginały posiadają pierwszorzędną wartość; tak »*Włóścianin ruski*«, jak »*Przejście przez granicę*«, oraz »*Pożegnanie*« i »*Powrót*« — szczególnie dwa pierwsze — należą do utworów mistrza, które co najmniej obok »*Warszawy*« i »*Lituanii*« postawić można. Tryska z nich geniusz i gorąca miłość ojczyzny.

\* Znany rzeźbiarz *Marcinkowski* wykonał model grobowca dla zmarłego arcybiskupa *poznańskiego, Dindera*. Pomnik wykonany jest w stylu odrodzenia. Przedstawia kłęczącą na sarkofagu postać nieboszczyka w stroju pontyfikalnym, z rękoma złożonymi do modlitwy, ze wzrokiem wzniesionym w górę. Znaczący chwałą monument, który ma być odlany ze spiżu i ustawiony na podstawie granitowej w katedrze *poznańskiej*, jeszcze w roku bieżącym w maju. Model pomnika ma się ukazać w tegorocznym *salonie* berlińskim, który otwarty będzie dla publiczności w d. 15 maja.

\* *Henryk Siemiradzki* wysłał na wystawę do Chicago swoją »*Fryne*« i »*Jawnogrzecznicę*«.

\* Na tegorocznym konkursie Akademii Sztuk Pięknych w Petersburgu, otrzymał p. *Józef Mazurkiewicz*, *Warszawianin*, medal zło-

ty za projekt architektoniczny »sali koncertowej«, właściwej dla konserwatorium muzycznego.

\* *Cyprian Godebski* ukończył w tych dniach rzeźbę, wyobrażającą »*Pokój*«, dawniej już zamówioną przez rząd francuski dla ministerium spraw zagranicznych.

\* *Piotr Stachiewicz* po dłuższej i ciężkiej chorobie powraca szczęśliwie do zdrowia.

\* *Czesław Jankowski*, mieszkający obecnie w *Billancourt*, pod *Paryżem*, zasypany jest formalnie tysiącami zamówieniami angielskich i francuskich wydawnictw ilustrowanych, a jednak — mamy nadzieję — że część swego drogiego czasu poświęci także i dla *Świata*, którego pomyślny rozwój leży mu bardzo na sercu.

\* *Stanisław Janowski*, artysta-malarz, którego »*Emancypantkę*« w reprodukcji cynkograficznej dajemy w dzisiejszym zeszycie, wszedł jako wspólnik do zakładu artystyczno-fotograficznego, kierowanego dotąd, także przez artystę-malarza, *Kacpra Żelechowskiego*. To połączenie się dwóch sił tak wybitnych i tak słusznie cenionych, niezawodnie wpłynie wiele na rozwój przedsiębiorstwa.

\* W *salonie* *Amslera* i *Rutharda* w *Berlinie*, gdzie obecnie mieści się wystawa akwareli, pasteli i rysunków, znajduje się kilka wybitniejszych prac artystów polskich, pomiędzy którymi parę studyów panny *Olgi Boznańskiej*. *Reichsanzeiger* w ten sposób o nich się wyraża: »Tak znakomitego dzieła sztuki, jak studium głowy *dziewczęcia p. Boznańskiej*, nie powstydziłby się i najroźgłośniejszy znany malarz. Za serce chwytający wyraz oczu błękitnych, finezya modelowania i pewność w użyciu barw, składają się razem na całość, wywołującą silne wrażenie. Wytworność smaku przebiega się także w studium »*W pracowni*«, przedstawiającem postać kobiecą w stroju starożytnym«.

\* *Doroczny salon* w *Monachium* otwiera swoje podwoje w d. 1 lipca. Ostateczny termin do zawiadomienia o wysłać się mającym dziele sztuki upływa w d. 15 kwietnia. Przyinowanie obrazów i rzeźb przez *jury* trwa od d. 1 do 20 maja.

\* *Namiestnictwo* udzieliło komitetowi — zawiązanemu w *Krakowie* w celu wzniesienia pomnika *Arturowi Grotterowi* — pozwolenia na zbieranie składek, w granicach zwykle zastrzeżonych formalności.

\* W *Kijowie* w gmachu giełdowym otwarto wystawę obrazów, na której znajduje się dużo płócien malarzy polskich.

\* Na tegorocznym konkursie rzeźbiarskim *Tow. Zachęty Sztuk Pięknych* w *Warszawie* otrzymali w d. 1 b. m. następujące nagrody: *Leon Wiśniewski* za terracotę p. t. »*Z pomocą bratu nagrodę drugą* w kwocie 300 rs. i panna *Tola Certowiczówna* za rzeźbę z brązu »*Fragment dekoracyjny do grobu*« nagrodę trzecią w kwocie 200 rs. Nagrody pierwszej nikt nie otrzymał. *P. Leona Wasilkowskiego* za rzeźbę z gipsu »*Topielec*« obdarzono listem pochwalnym.

\* W tych dniach odbyło się poświęcenie odnowionej kaplicy św. Antoniego w kościele *N. Panny Maryi*. Ofiarodawca, który na ten cel znaczny fundusz wyłożył, zastrzegł tajemnicę co do swego nazwiska, wyrażając życzenie, aby restauracja dokonana została siłami artystów i rękodzielników polskich, bez współdziałania cudzoziemców. Tak się też stało. Roboty polichromijne wyszły z pod pędzla p. *Nizińskiego*, artysty-malarza *krakowskiego*. Obok okna kaplicy umieścił on postać św. *Jadwigi*, według legendy miniaturowej z *XIV wieku*,

a ściany obiega napis wyjęty z hymnu św. Antoniego. Całe odnowienie przywraca tej części — drogiej sercom polskim świątyni — pierwotny styl gotycki, zatarty niegdyś przez restaurację *X. Łopackiego*. Roboty kamieniarskie, wykonane przez p. *Trembeckiego*, uzupełniły wszystkie dawne żebra i kapitele. Roboty stolarskie wyszły z zakładu braci *Muranych*, a szklarskie z pracowni p. *Zajdzikowskiego*. Plany odnowienia kaplicy nakreślił architekt *St. Krzyżanowski*, a nad całą restauracją, jako delegat grona konserwatorów *Galicyi zachodniej* czuwał zasłużony *Władysław Łuszczkiewicz*, dyrektor *Muzeum Narodowego*.

\* *Komisyja teatralna*, z *łona Rady miejskiej* wybrana, ułożyła nareszcie projekt kontraktu na wydzierżawienie nowego teatru. Projekt ten wydrukowano i rozesłano wszystkim radcom, można zatem mieć nadzieję, że wkrótce rozpoczyna się debata w pełnej *Radzie miejskiej*. Projekt zasługuje na bardzo surową krytykę.

\* *Uroczystość* dwudziestopięcioletniego jubileuszu działalności literackiej i dziennikarskiej *Kazimierza Bartoszewicza*, obchodzoną była w *Krakowie* w sali *Towarzystwa muzycznego* bankietem, danym na jego cześć w d. 6 b. m. Przemawiali z kolei, sławiąc talent i zasługi jubilata: *prof. Dr Henryk Jordan*, *Dr Adam Bełcikowski*, *Michał Bałucki*, *prof. Czesław Pieniążek*, *Adolf Lewandowski*, *Kazimierz Lange*, *Antoni Piotrowski*, *Chwałibogowski*, *Józef Bornstein*, *Koziański*, *Dr Kastory*, dyrektor *Janusz Niedziałkowski*, oraz poeta *Oppman (Or-ot)*, który zaimprovizował wiersz, gorąco oklaskiwany. Odczytano nadto liczne telegramy i listy z życzeniami i wyrazami uznania, nadesłane z różnych dzielnic *Polski* od redakcji czasopism i dzienników. Złożono także upominki: pierścień złoty, zegarek złoty (od redakcji *Kuryera Polskiego*) i wieniec srebrny. Ten ostatni dar nadesłały panie *krakowskie* z napisem: »od Polek«. Cała uroczystość nosiła na sobie charakter cieplej serdeczności, której temperatura wzrosła szczególnie po pięknej mowie jubilata, określającej jasno jego stanowisko polityczne, dziennikarskie i literackie, oraz cele, ku jakim dążył, od chwili, w której chwycił za pióro i poświęcił się służbie publicznej.

\* *Kierownictwo* w *lwowskiej szkole muzycznej* ś. p. *Ludwika Marka*, objął kompozytor-fortepianista *Stanisław Niewiadomski*.

\* W *teatrze hr. Skarbka* we *Lwowie*, najnowsza komedia *Zygmunta Przybylskiego*, nosząca tytuł »*Wejście w świat*«, doznała powodzenia i przychylnie ocenioną została przez krytykę.

\* *Muzeum im. Dzieduszyckich* we *Lwowie* ogłasza konkurs na napisanie opisu geograficzno-historycznego któregośkolwiek powiatu w kraju. *Muzeum* pragnie, żeby rezultat tego konkursu pozostał jedną z trwałych pamiątek zapowiedzianej na r. 1894 powszechnej wystawy krajowej. Praca każda ma mieć takie rozmiary, ażeby mogła z pożytkiem służyć nauczycielom ludowym, jako dzieło pomocnicze do własnego kształcenia i do stosownego użytkowania wyników w szkole. Pożądana jest objętość około 6—10 arkuszy druku. Jako nagrody za trzy najlepsze prace wyznacza *Muzeum* następujące trzy premie: 1) 30 sztuk 20-koronowych w złocie; 2) 20 sztuk 20-koronowych w złocie; 3) 10 sztuk 20-koronowych w złocie. Jedną z trzech prac premiovanych obowiązuje się *Muzeum* wydać własnym nakładem. Jako termin do nadsyłania prac wyznaczono dzień 1 stycznia 1894 r. W skład komisji, oceniającej prace, wejść jako przewodniczący właściciel *Muzeum* lub

delegowany przez niego zastępca, delegat Rady szkolnej, delegat głównego zarządu Tow. pedagogicznego, delegat komitetu centralnego wystawy krajowej i trzej sędziowie, mianowani przez właściciela Muzeum.

\* Powieść Adama Krechowieckiego »Veto«, o której pisaliśmy w swoim czasie, ukazała się w drugim wydaniu, i — jak nas zapewniano w księgarni nakładców — rozchodzi się nader szybko w tej powtórnej edycji.

\* Wydział »Związku literackiego« ukonstytuował się na rok bieżący. Prezesem wybrany został na nowo Dr Józef Tretiak, wiceprezesem Dr Maryan Żdziechowski, skarbnikiem p. Zygmunt Ehrenberg, sekretarzem Dr W. L. Jaworski. Do wydziału wchodzi nadto: Dr Antoni Benis, Dr Antoni Beaupré, Adam Chmiel, prof. Dr Napoleon Cybulski, Dr Feliks Koneczny i Zygmunt Sarnecki.

\* O komedii »Zdrowi i pokaleczeni«, przedstawionej w sobotę na benefis p. Solskiego, mówić będziemy obszerniej w przyszłym zeszycie »Świata«. Według wszelkiego prawdopodobieństwa, autorem jej — ukrywającym się pod pseudonimem Ż. Krzywdzica — jest Edward Lubowski.

\* Karol Estreicher pisze historię teatru wileńskiego.

\* R. Pollard, członek wszechnicy oxfordzkiej, wydał w druku rozprawę konkursową, za którą otrzymał nagrodę, p. t.: »Jezuici w Polsce«. Praca nosi na sobie charakter kompilacyjny.

\* J. Klaczko, po długim milczeniu, wystąpił z nową pracą, którą drukuje *Revue des deux Mondes*.

\* *Conzuda* nie pozwoliła dziennikom i czasopismom warszawskim wspominać o jubileuszu Kazimierza Bartoszewicza. Jednej z najpopularniejszych publikacji ilustrowanych wykreślono nawet życiorys utalentowanego satyryka i publicysty, oraz jego portret.

\* Donoszą nam z Paryża, że w stanie zdrowia ponowociopisarki, Gabrieli Zapolskiej, zaszła pomyślna zmiana.

\* Warszawska *Niwa* zmieniła program i kierownictwo. Naczelnym redaktorem został p. Ludomir Grendeszyński, były współpracownik *Kraju* petersburskiego.

\* Komedya Stanisława Graybnera »Fredzio«, przedstawiona na scenie Teatru Rozmaitości w Warszawie, doznała ze strony publiczności nader przychylnego przyjęcia. Krytyka, czyniąca pewne zastrzeżenia co do wartości samej sztuki, przyznaje autorowi temperament pisarza scenicznego i niemały talent.

\* Dyrekcyja teatru krakowskiego zapowiada kilka nowości, a pomiędzy nimi sześć sztuk oryginalnych: »Flirt« Michała Bałuckiego, »Jakób Warka« Daniela Zglińskiego (na benefis p. E. Rygiera), »Już go mam!« Ryszarda Ruszkowskiego (w sobotę, na benefis panny T. Trapszówny), »Książkę Henryk« Bronisława Grabowskiego (na benefis panny A. Kałużyńskiej), »Sto lat temu« Michała Bałuckiego, »Szwedzka zapalka« Chmurki (na benefis p. R. Ruszkowskiego).

\* Ósmy zjazd lekarzy i przyrodników polskich — jak wiadomo — odbyć się ma w Poznaniu w roku przyszłym. W tym celu w tych dniach zebrał się tamże lekarze i przyrodnicy miejscowi i wybrali dwóch członków komitetu (Dra Fr. Chłapowskiego i Dra B. Wicherkiewicza), zając się mających przygotowaniem; upoważniając ich nadto do uzupełnienia grona zarządu wedle własnego uznania. Ci, natychmiast po posiedzeniu odnieśli się do lekarzy lwowskich z zapytaniem, czy nie pragnęliby, aby zjazd odbył się we Lwowie w czasie wystawy krajowej. Jeśli odpowiedź, wkrótce nadejść mająca, okaże się przychylną projektowi, ósmy zjazd odbędzie się we Lwowie, a dzień wiaty dopiero, przypadający na rok 1897, obra-

dami swemi i liczniejszym zjazdem z wszystkich ziem polskich ożywi cichy i smutny Poznań.

\* Trzeci występ panny Wachtel w »Moim małym« Zygmunta Przybylskiego, utrwalił w nas przekonanie, że młodzianka debiutantka posiada duży talent, który w przyszłości rozwinąć się może świetnie.

\* Helena Modrzejewska wystąpi w d. 22 b. m. w teatrze *Chicago Opera House* — na rzecz polskiej szkoły sióstr Nazaretanek — w dramacie Szyllera »Marya Stuart«.

\* Pierwszy tegoroczny zeszyt *Russkiej myśli* mieści już w sobie piękny przekład najświeższej noweli H. Sienkiewicza p. t.: »Pójdźmy za nim«. — »Bez dogmatu« tegoż autora ukazało się w rosyjskim tłumaczeniu w *drugim wydaniu*. Pięknie to świadczy o zamiłowaniu do literatury u Rosyan. U nas — niestety — inaczej! — Wspomnieliśmy w poprzednim zeszycie o niemieckim przekładzie »Ogniem i mieczem«. Otóż dokonała go *pani* Klara Hillebrand, a nie *pan* Hillebrand, jak to podaliśmy poprzednio.

\* Prezydent krajowej Rady szkolnej Dr Michał Bobrzyński otrzymał krzyż komandorski orderu Cesarza Franciszka Józefa.

#### NEKROLOGIA.

\* W d. 3 lutego we Florencji zmarł *Teofil Lenartowicz*. Wieść żałobna wywołała ogólny smutek w naszym społeczeństwie. Autor »Zachwycenia« urodził się w Warszawie d. 27 lutego 1822 roku. Jako czternastoletni chłopiec zarabiał już na swoje utrzymanie, przepisyując akta u jednego z adwokatów stolicy. W 1848 r. — w chwili wadłownej, kiedy jako urzędnik Rząd. Komisji Sprawiedliwości miał awansować i otrzymać wyższą posadę — musiał emigrować. Wyszedł z kraju jako już znany — chociaż nierozgłośny jeszcze — poeta. Utwory jego drukowały w Warszawie czasopisma: *Przegląd Naukowy*, *Nadwiślanin*, *Biblioteka Warszawska* i *Dzwon literacki*. Dopiero w czasie swego pobytu w Poznaniu wydał pierwsze pieśni, pełne charakteru ludowego, szczerze chłopskie i mazowieckie, nawskróś odrębne, które zwróciły nań uwagę kół literackich i krytyki. Miały one pewne powinowactwo z »Pieśniami Janusza« Wincentego Pola, były jednak oryginalne i dla liryki naszej przynosiły formę, obrazy i myśli nowe. Wkrótce potem (1851 r.) ukazała się jego »Lirenka«, zbiór najcudniejszych natchnień poety, do wysokości których już w żadnym innym dziele nie wznosił się nigdy. Ta — chociaż obciąża przez cenzurę — w licznych wydaniach i nieprawnych przedrukach dostała się w parę lat później do Warszawy i rozpalila dlań w sercach młodych — wielką, gorącą miłość. Odtąd wiersz jego jawnie i skrycie rozchodził się po całej Polsce. Często towarzyszyła im muzyka Ignacego Komorowskiego, ilustrująca sielskość Lenartowicza dosadniej może nawet od mistrzowskich pieśni Moniuszki. Poeta opuścił Poznań i poszedł drogą wygnania. Czas jakiś mieszkał w Fontainebleau. Tam zaprzyjaźnił się z Bohdanem Zaleskim. Następnie, opuściwszy Francję, udał się do Włoch. Do Italii ciągnął go Rzym katolicki. Gościł czas jakiś w wiecznym mieście, gdzie piszący te wyrazy poznał go w 1858 r. i mógł ocenić należycie całą szlachetną, wzniosłą prostotę i głęboki patriotyzm autora »Bitwy raclawickiej«, drugiego po »Lirence« arcydzieła, w swoim rodzaju. Następnie osiedlił się Lenartowicz we Florencji, skąd wyjeżdżał rzadko i na krótko do Bolonii i innych miast włoskich, w których z katedry, publicznie omawiał nieraz dzieje naszej literatury. We Florencji ożenił się z Zofią Szymanowską, znaną malarką, siostrą przyrodnią żony Adama Mickiewicza. W lecie wyjeżdżał nad morze do Antignano. Tam, pewnego lata, kreślący to zwizję wspom-

nienie, spędził z nim sześć miesięcy pod jednym dachem, tam patrzył ze wzruszeniem na cierpienia poety po stracie jedyne dziecko, tam, chcąc myśli jego oderwać od udrczającego go smutku, rozbudził w umyśle Lenartowicza go smutku, uczenia się rzeźbiarstwa, któremu różnie oddał się pieśniarz ludowy z całym zapalem swej artystycznej duszy. — W kilka lat potem opuściła go żona, odchodząc do lepszego świata. Poeta pozostał znowu samotny. Pisał, rzeźbił, przyjmował życzliwie rodaków w skromnym swem mieszkaniu na *via Montebello*, aż nagle w d. 3 b. m. zasnął snem wiecznym. Szkoda, że popioły jego — relikwie dla polskiego ludu wiejskiego — nie spoczną tu w Krakowie, gdzie prędzej czy później »siermiężni« i »sukmanowi« uczczą go niezawodnie żalem wielkim i pomnikiem... za »Bitwę raclawicką«. — *Świat* w jednym ze swych przyszłych zeszytów pomieści obszerniejsze studium o T. Lenartowiczu, jako o poecie, oraz jego portrety. Jeden z nich wykonany będzie według medalu, modelowanego przez samego autora »Błogosławionej«.

\* *Leon książę Sapięha*, syn księcia Adama, urodzony 14 sierpnia 1856 r. w Paryżu, zmarł d. 8 lutego w dobrach swoich w Bilczu. — Ks. Leon wychowany w Krasiczynie, kończył szkoły publiczne we Lwowie, a następnie osiadł na wsi. W r. 1883, na Wawelu, poślubił księżniczkę Teresę Sanguszkównę, jedyną córkę ks. Pawła. Był to związek dwóch serc, kochających się od kolebki. Oboje młodzi, piękni, pełni zapału, miłości i poezji, posiadali wszystkie warunki szczęścia. Po ożenieniu osiadł ks. Leon w Bilczu. W ostatniej kadencji zaszczycony wyborem do Sejmu krajowego, stał się wkrótce użytecznym i obiecującym posłem. W styczniu r. z. zasłabł ciężko; na szczęście, dzięki silnej naturze, udało się pokonać chorobę, niestety nie na długo. W końcu grudnia udał się do Bilcza, gdzie dostał tyfusu. Przez trzy miesiące blisko toczyła się walka między śmiercią a życiem. Nie pomogły ani starania, ani pieczołowitość największa, ani usiłowania całego grona lekarzy. Rodzina straciła najszlachetniejszego syna, męża i brata, liczni przyjaciele wiernego towarzysza i druha, społeczeństwo i kraj piękną nadzieję!

\* W chwili, kiedy oddajemy ostatni arkusz naszego zeszytu na prasę, dochodzi nas nader bolesna wiadomość o zgonie *Władysława hrabiego Koziebrodzkiego*, posła na Sejm krajowy i do Rady państwa, zastępcy członka Wydziału krajowego, prezesa Towarzystwa gospodarczego jarosławsko-łańcuckiego, prezesa Towarzystwa tatrzańskiego, członka rady powiatowej jarosławskiej, utalentowanego komedyo-pisarza, który w roku ubiegłym odniósł świetne zwycięstwo na konkursie warszawskim, najnowszą swoją sztuką p. t. »Nauczycielka«, nagrodzoną i cieszącą się olbrzymim powodzeniem. *Świat* i jego kierownik tracą w zmarłym wiernego, długoletniego przyjaciela; kraj i ojczyzna najzaciejszego z synów; literatura dzielnego, zacnego pracownika. Dziś smutek zaciska nam usta. W jednym z przyszłych zeszytów mówić będziemy obszernie o jego talencie i zasługach. Cześć pamięci pisarza i obywatela!

\* W Czerniowcach d. 10 b. m. zmarł *Aleksander Morgenbesser*, prawy obywatel, patriota, autor humorystycznych utworów: »Obrońca Sokolowa«, »Myślący burmistrz«, »Palestra«, »Zwycięstwo książki«, oraz »Śpiewów historycznych«, kreślonych na wzór Niemcewicza. W chwili zgonu liczył lat 76.